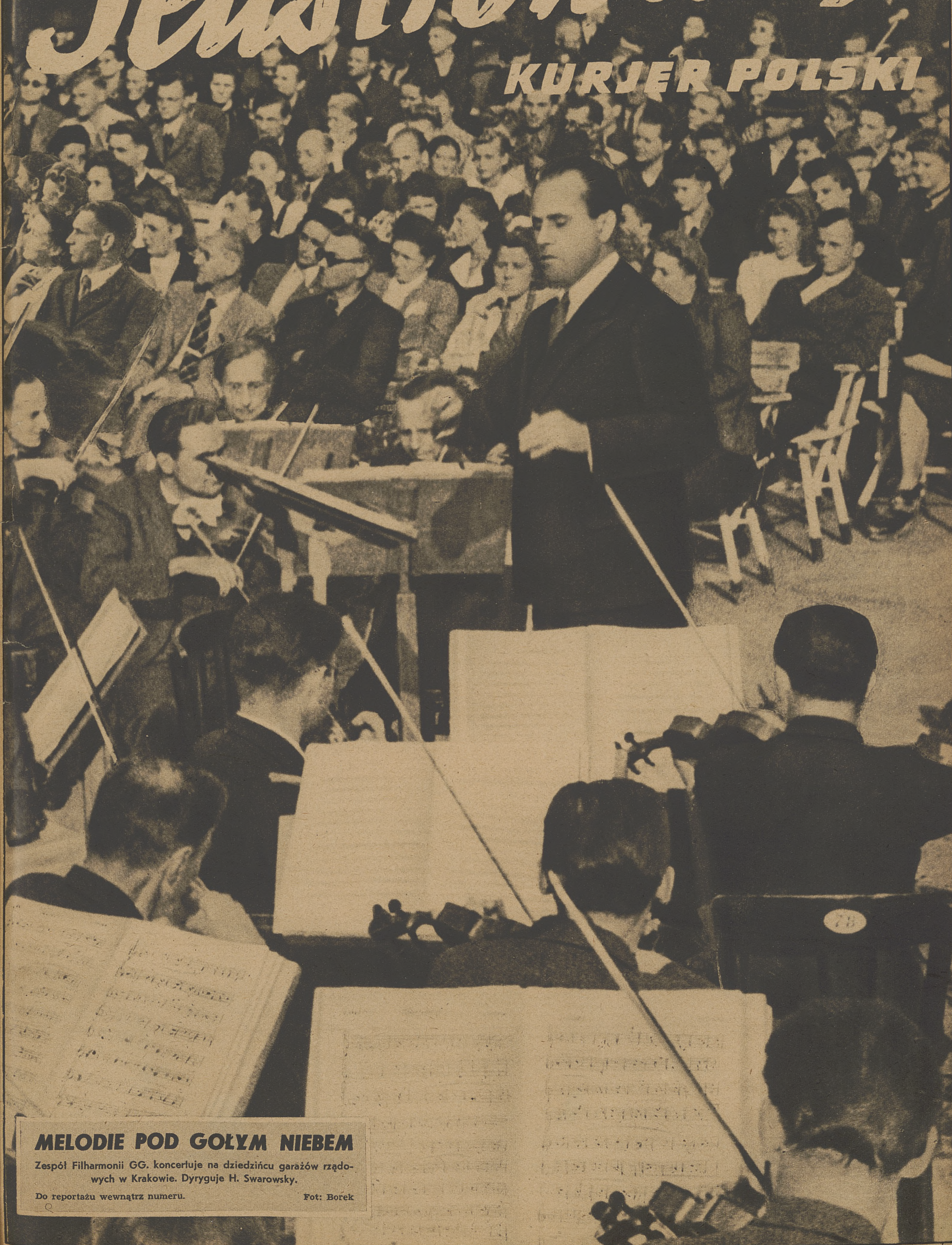Nr. 39 Rok 5 Kraków, dnia 24 września 1944. 40 g

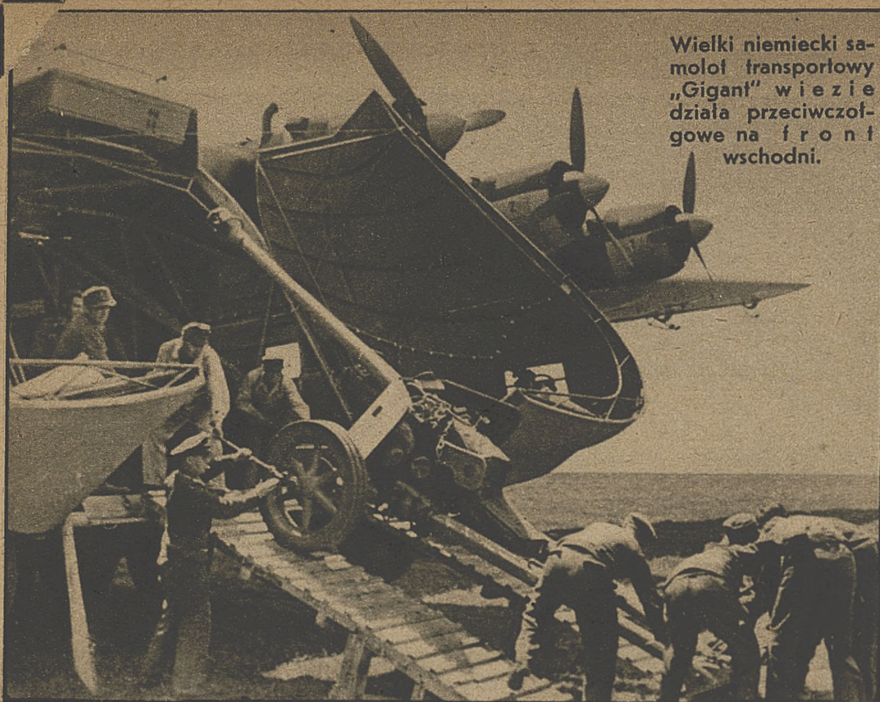
Ilustrowany KURJER POLSKI

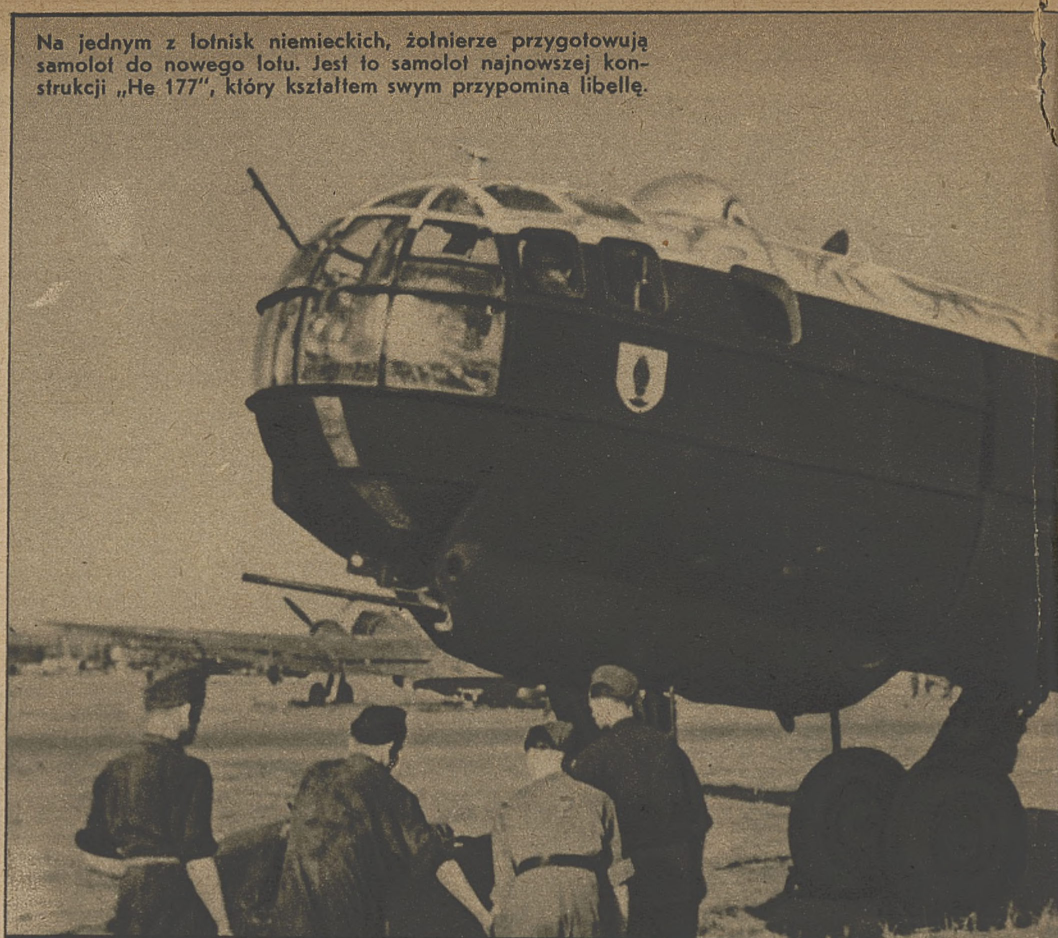


MELODIE POD GOŁYM NIEBEM

Zespół Filharmonii GG. koncertuje na dziedzińcu garażów rządowych w Krakowie. Dyryguje H. Swarowsky.

Do reportażu wewnątrz numeru. Fot: Borek


Wielki niemiecki samolot transportowy „Gigant" wiezie działa przeciwczołgowe na front wschodni.


Na jednym z lotnisk niemieckich, żołnierze przygotowują samolot do nowego lotu. Jest to samolot najnowszej konstrukcji „He 177", który kształtem swym przypomina libellę.



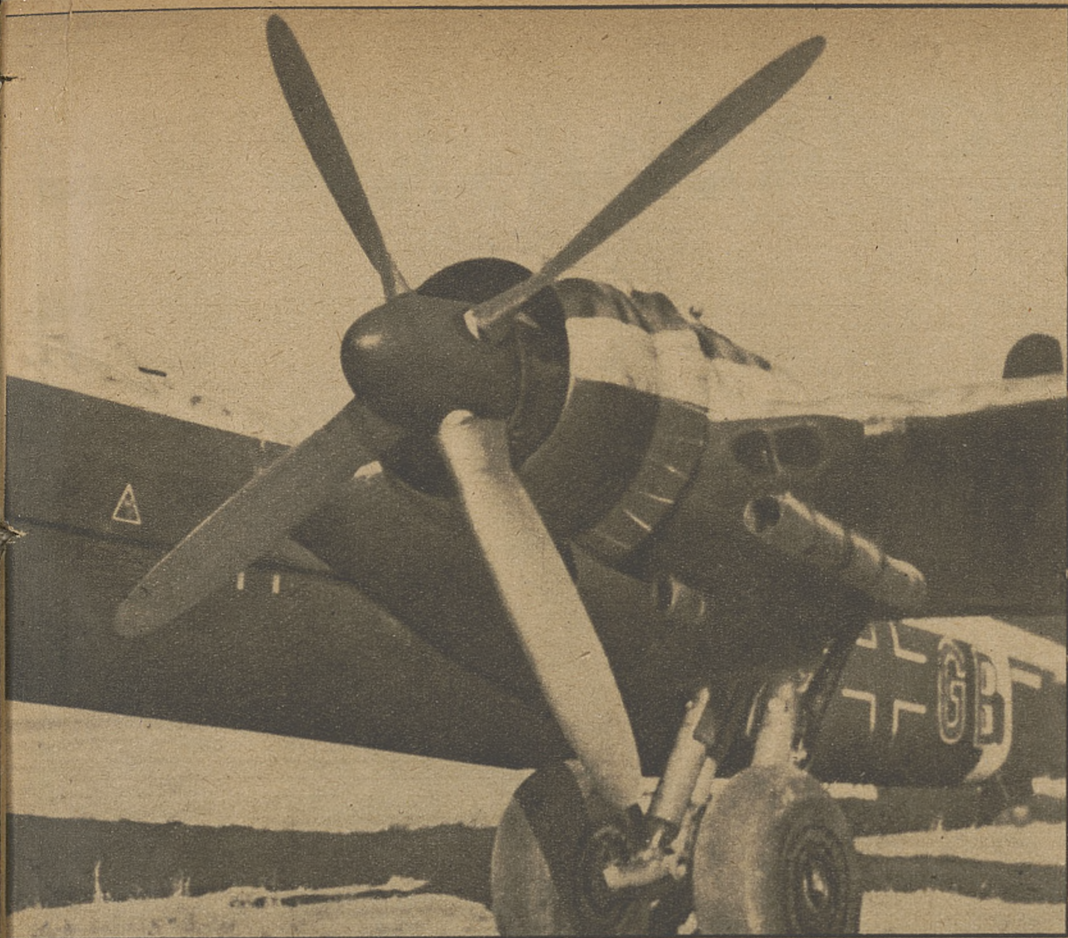

KONTRATAK
Po odparciu sowieckiego ataku, żołnierze niemieccy posuwają się naprzód na motocyklach i wozach pancernych.

Na lewo:
W KARPATACH
Niemiecka piechota ostrzeliwuje z lekkich dział sowieckie pozycje.


Grenadierzy niemieccy zajęli, po zaciekłej walce, wieś obsadzoną przez bolszewików. Żołnierze przeciskają się między płonącymi chatami, by zlikwidować resztki ukrywających się nieprzyjaciół.


Dowódca oddziału obrał sobie stanowisko

GORĄCA WALKA NA





NA PACYFIKU
Japońskie działo obrony przeciwlotniczej zwalcza samoloty nieprzyjacielskie na jednej z wysp Oceanu Spokojnego.

Fot: PK. Keiner, Broenner-Sch., Valtingojer-Atl., Kunstmann, Geller - PBZ., ᛋᛋ-PK Grunert 3, Transozean.



Powyżej:

W BRÓD
Ciężkie działo niemieckie przeprawia się przez rzekę.

Jeszcze dymią płonące chaty, a już zakłada się przewody telefoniczne, by uzyskać możliwie szybko połączenie z głównym oddziałem.



…owisko w środku wsi, skąd kieruje akcją.



NA FRONCIE WSCHODNIM

Rybołóstwo japońskie



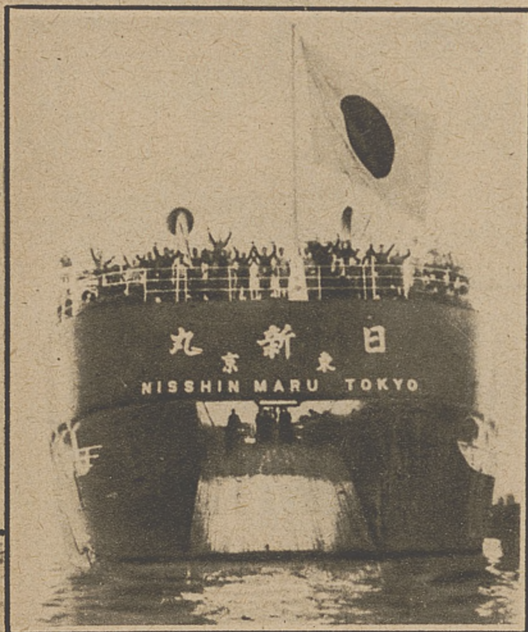
szych zatokach i na morzach przybrzeżnych łowi się ryby przy pomocy kormoranów. Ptaki te mają w czasie łowów na wąskiej szyi pierścień, aby nie mogły złowionej ryby połknąć.

Dopiero gdy rybak ma już dość ryb, pozwala kormoranowi najeść się do syta. Na ten dzień rybołówstwo z kormoranem musi się jednak zakończyć. Również wędkarstwo jest bardziej w Japonii rozpowszechnione jak w Europie. Osobliwością japońskiego rybołówstwa morskiego jest fakt, że na połów wyjeżdżają małe łódki, najczęściej zaś flotylla łódek dokoła jednego dużego parowca. Także na polu wielorybnictwa poczyniła Japonia duże postępy i jest już w posiadaniu własnej, najnowocześniejszej floty wielorybniczej.

Powyżej:
Japoński rybak rzeczny z kormoranami. Ptaki te łowią do stu ryb dziennie. Aby nie mogły złapanych ryb połknąć, mają dokoła szyi zawiązane wstążki lub pierścienie.

Na prawo:
Japoński rybak na swoim krześle rybackim z wędką i siecią. Ten sposób łowienia ryb jest w Japonii bardzo rozpowszechniony, ponieważ nie wymaga wielkich nakładów.

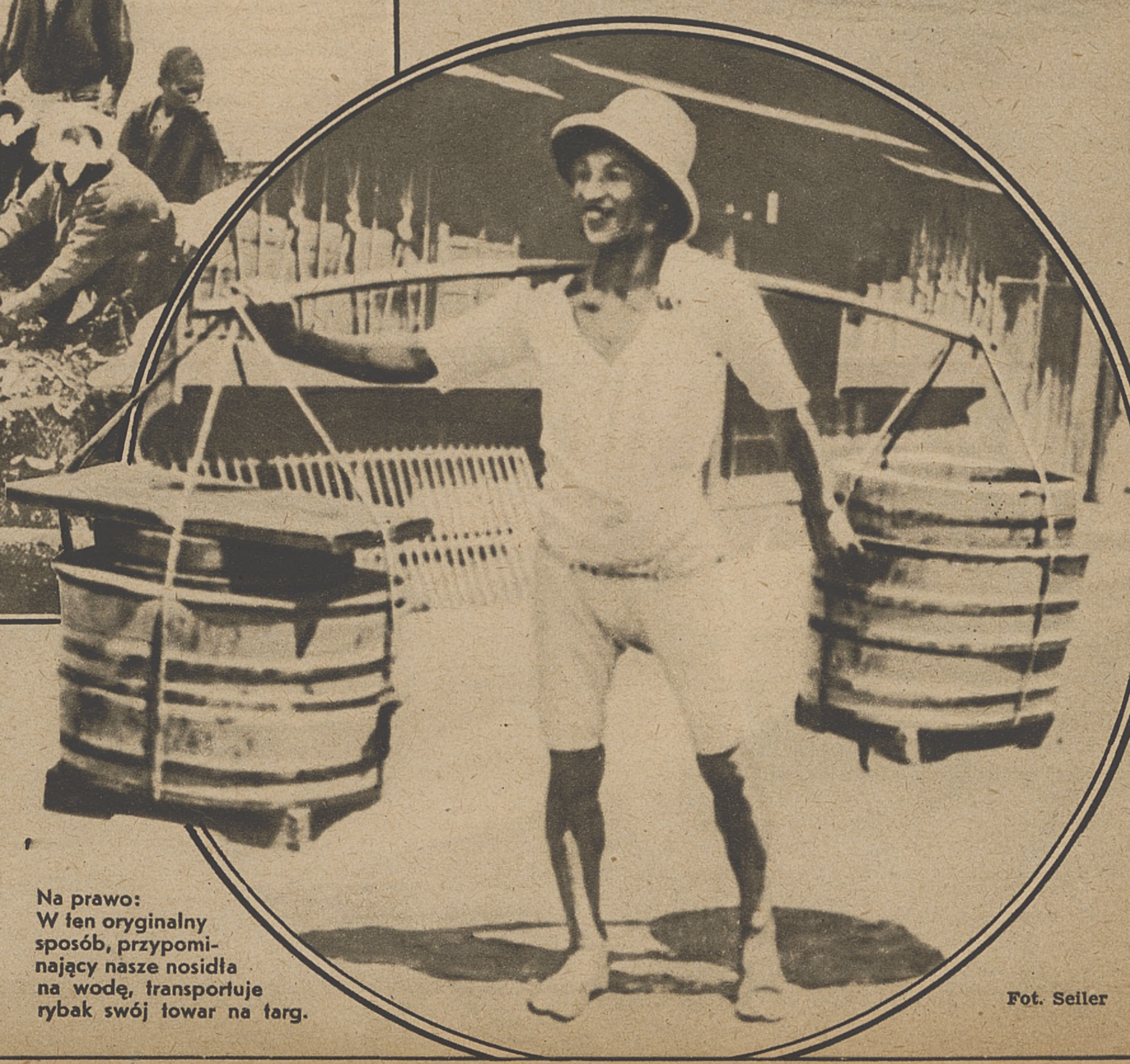
Poniżej:
Nowoczesny statek wielorybniczy o pojemności 22.000 BRT i załodze składającej się 485 ludzi. Na ilustracji widzimy „bramę" w rufie statku, przez którą wciąga się wieloryba do wnętrza.







Na lewo:
Połów sardynek się udał. Rybacy wynoszą teraz na brzeg swoją zdobycz.



Na prawo:
W ten oryginalny sposób, przypominający nasze nosidła na wodę, transportuje rybak swój towar na targ.

Fot. Seiler

Japonia, kraj wyspiarski, jest z racji swojego położenia rajem dla rybaków. Rybactwo zawodowe istnieje tam od niepamiętnych czasów. Początkowo było to rybołówstwo przybrzeżne i rzeczne, z biegiem czasu rozwinęło się w rybołówstwo na pełnym morzu. Największą flotę rybacką posiada dotychczas Norwegia, a Japonia stara się osiągnąć jedno z pierwszych miejsc wśród narodów rybackich.

Okrągło milion ludzi oddaje się w Japonii zawodowo rybactwu, a mają do dyspozycji 350.000 statków żeglugi oceanicznej i 90 wielkich parowców. Łowi się po największej części łososie morskie, pstrągi, sardynki, śledzie, tuńczyki, makrele i tai. Ten ostatni gatunek jest najczęściej spotykaną rybą na północnym Pacyfiku i stanowi drugą, poza ryżem, narodową potrawę japońską. Śledź nie jest przez Japończyków używany tak powszechnie jak przez Europejczyków.

Specjalnością rybołówstwa japońskiego jest wyławianie roślinności morskiej, szczególnie zaś gatunku, który nadaje się jako pożywienie.

Metody łowienia ryb w Japonii są tak liczne, jak liczne są możliwości łowienia. Na wybrzeżach morskich i w pobliżu lądów jak również w więk-





Melodie pod gołym niebem





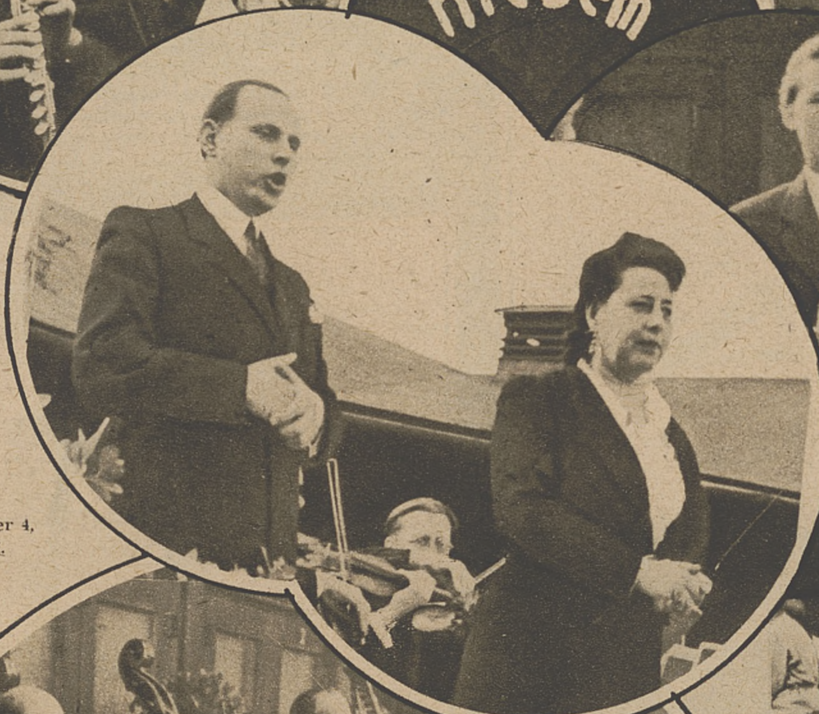
W garażach rządowych w Krakowie odbył się ubiegłego tygodnia wielki koncert dla pracowników tychże garażów i warsztatów samochodowych, budząc już naprzód duże zainteresowanie pod nazwą „Koncertu robotniczego".

Wspomniany koncert, z udziałem Filharmonii G. G. pod batutą Hansa Swarowsky'ego, tudzież solistów w osobach Reny Kopaczyńskiej, Antoniego Wolaka oraz Józefa Prządy — był istotnie niepowszednim wydarzeniem muzycznym ostatnich dni.

Na obszernym dziedzińcu, pośród zabudowań garażu, w promieniach przedjesiennego słońca, zebrali się pełni radosnego oczekiwania słuchacze.

Prezydent Gutbrod zainaugurował koncert krótkim przemówieniem na temat konieczności wynagradzania każdego człowieka pracy nie tylko płacą i wyżywieniem, ale odpowiednio podaną także strawą duchową, do której słuszne prawo rości sobie kulturalna jednostka społeczeństwa. Jedną z dróg, na której znaleźć może utrudzony pracą codzienną człowiek zaspokojenie swych wymogów estetycznych, gdy brak mu niejednokrotnie czasu, chęci i możności na spełnienie swoich życzeń, jest zbliżenie się uzdolnionego artysty ze swymi talentami do pracownika.

Dokończenie na str. 10





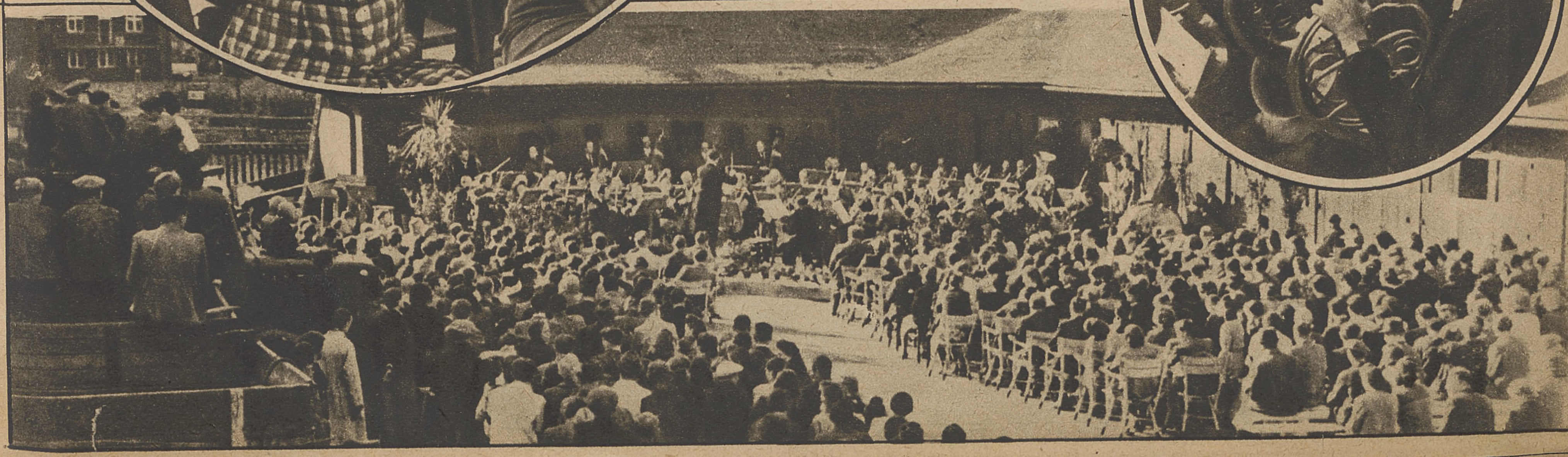
Na prawo:

p. Antoni Wolak i p. Rena Kopaczyńska w duecie Halka—Janusz. Józef Prząda śpiewa arię Jontka.

Fot: Brandner 4, Borek 7.







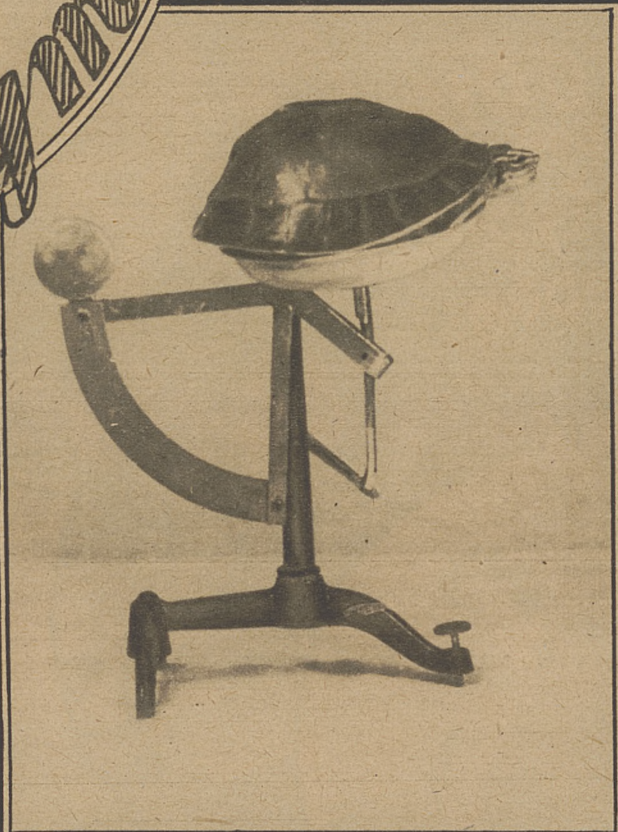


Na lewo:
Nie wiele wagi ja przechylę!
Nie mogę utyć, więc mi smutno,
bo i tak nie ja ważę tyle
a tylko moje śliczne futro!

Na prawo:
Dwa i pół deko!! Cóż ja zrobię?
już miesiąc jestem na diecie...
Mój mąż nie znosi tęgich kobiet
i nie uniknę przykrych sprzeczek!

Poniżej:
Gdy odważano każde „zwierzę"
dałem i ja się kłaść na szali!
Za to przyznajcie (całkiem szczerze!)
że jestem cudnie wąski w talii...

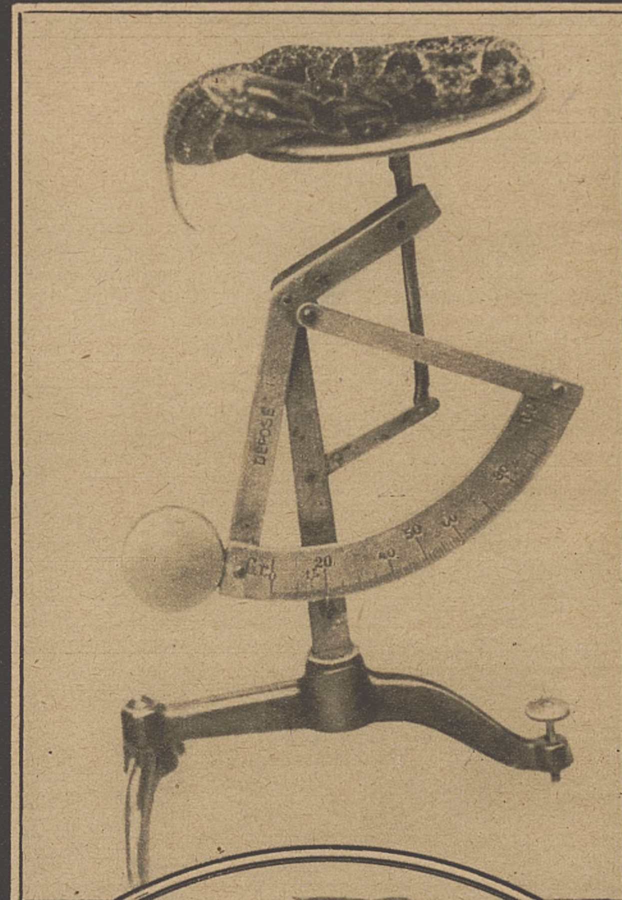




Poniżej:
Smukły jak wąż, tom jest zaiste...
Czy wiecie państwo ile ważę?
— Dwa deko tylko! kpiny czyste!
waga to wam dokładnie wskaże!



Zaledwie dziewięć deko waży
tłusta i młoda ta ropuszka,
choć na apetyt się nie skarży
ogrodów naszych wierna służka.



Poniżej:
— Ze strachu schudłam, moi państwo!
bo wedle stawu krążył bociek...
Ale do „formy" wrócę łatwo
bo w krąg owadów całe krocie!



Na lewo:
Papuga — chcąc być piękną zawsze —
stosuje w odżywianiu umiar.
Ledwie pół kilo! Proszę patrzeć! —
... ale to waży dziób i duma...



Na prawo:
Trzy i ćwierć kilo! No, nareszcie!
Wcale mi to nie przyszło łatwo:
w spiżarni byłem jak w areszcie...
lecz myszy nie ma — na lekarstwo!

Fot: Schmidt-Schaumburg
Tekst: M. A. Hessel

Tęsknota

tekst TE-DE

rys. M.

Padał drobny, ciepły, majowy deszcz.

Krople wody tłukły się monotonnie o blaszane rynny i dźwięczały żałośnie na mokrych szybach. Ciężkie, wspaniałe w swej urodzie kiście bzów ociekały deszczowymi łzami. Soczysta zieleń trawy i listowia prześlicznie harmonizowała z rozkwitniętymi kwiatami. Cały ogród pełny był orzeźwiających, najwonniejszych zapachów.

Elżbieta zamknęła książkę i zeskoczyła z kozetki. Podeszła do okna. Dłuższą chwilę wpatrywała się w szare deszczowe chmury, płynące nisko i odsłaniające od czasu do czasu maleńki skrawek błękitu.

Pchnęła przymknięte słabo okno i w jednej chwili cały pokój wypełnił się delikatną wonią rozkwitłych bzów. Szelest kropel padających na zielone liście i na mokry blaszany dach miał w swej jednostajności coś usypiającego, niby jakaś cicha, dziwna melodia o orientalnych motywach.

Elżbieta zamyśliła się...

Już dwa lata mija od chwili, jak zamieszkała ponownie w Witkowicach. Dwa lata — to równocześnie bardzo mało i bardzo dużo... Dla Elżbiety są to lata ciszy i pracy. Codzienna regularna praca w domu, rzadkie wizyty w sąsiedztwie, jeszcze rzadsze przyjmowanie nielicznych gości tu, w Witkowicach, raz na kilka miesięcy wyjazd do Warszawy — oto pobieżny bilans tych dwóch lat poświęconych szarej, codziennej pracy.

A poprzednie lata?...

Tamten okres, najpiękniejszy krótkotrwały sen Elżbiety, skończył się w chwili, kiedy oczy Zbigniewa zamknęły się na zawsze. Tamte lata, lata miłości i szczęścia były naprawdę zbyt piękne, zbyt radosne, ażeby miały trwać bez końca. Elżbieta wiedziała, że jej szczęśliwe pożycie ze Zbigniewem trwać będzie bardzo krótko. Wiedziała, że ich małżeństwo zbudowane było na czyimś bólu i cierpieniu. Uczynili komuś, może bezwiednie ogromną krzywdę, której nie można było naprawić, ani zmazać największymi poświęceniami. I mimo tego iż w swym krótkotrwałym pożyciu małżeńskim, ani ona, ani też Zbigniew nie uciekali się nigdy do jakichkolwiek wybiegów czy kłamstw względem siebie, mimo iż serca ich nie nosiły na sobie żadnej plamy, która mogłaby rzucić cień na ich złoty romans, mimo iż nie było między nimi żadnej tajemnicy, którą chcieliby ukryć przed sobą — to nieraz między godziny ich szczęścia wkradały się dłuższe lub krótsze chwile jakiegoś dziwnego niepokoju a nawet strachu. Nieraz trapiły Elżbietę dziwne wyrzuty sumienia, wyśmiewane później przez Zbigniewa. Nieraz późną nocą budziła się i wsłuchiwała dłuższy czas w ciepłą ciszę nocną, jakby czekając na coś, co się nieodwołalnie musi wydarzyć. I przed oczyma Elżbiety stawała blada, drobna twarz tej kobiety, której przed laty Zbigniew przyrzekł dozgonną miłość. Duże, czarne oczy patrzały smutnie na Elżbietę, a czerwone, niezbyt ładne usta zdawały się mówić:

— Oddaj mi go! Zabrałaś mi Zbigniewa... On należy do mnie!

Elżbieta zapalała światło i drżąc z przerażenia biegła na palcach do pokoju Zbigniewa i tam dopiero odzyskiwała spokój. Wsłuchiwała się w głęboki, równy oddech męża i stała dłuższą chwilę, patrząc na jego piękną twarz oświetloną bladą poświatą księżyca.

Zdarzało się, że Zbigniew otwierał nieraz oczy, a biorąc Elżbietę za zjawisko senne uśmiechał się przyjaźnie. Kiedy jednak przekonywał się, iż obok jego łóżka stoi rzeczywiście jego żona, a nie żadna zjawa nocna, odsuwał kołdrę i zeskakiwał na ziemię. Obejmował czule delikatną postać Elżbiety i gładząc jej złociste włosy wypytywał troskliwie o powód lęku.

— Ona znów mnie dzisiaj ostrzegała, Zbigniewie... — mówiła drżącym głosem. — Patrzeła na mnie tak dziwnie, tak jakoś smutnie i złośliwie zarazem... Ach, jak ja się jej boję... Jak się jej lękam, Zbigniewie!

Mąż śmiał się z jej lęku, nazywał ją „małą, tchórzliwą myszką" i brał Elżbietę w ramiona, jak małą dziewczynkę, która przestraszyła się cienia drzewa padającego z ogrodu. Niósł ją do sypialni, kładł na łóżku i czuwał przy niej, aż do chwili, gdy senne powieki Elżbiety zamykały się, a spokojny oddech dawał gwarancję głębokiego, nie zakłóconego żadnymi zwidami snu.

Złociste dni szczęścia, nie odmierzane żadnym chronometrem biegły szybko jak na skrzydłach.

Elżbieta mieszkała razem z mężem w małej, skromnie urządzonej willi na przedmieściu Warszawy. Zajęcia gospodarskie wypełniały połowę dnia młodej małżonce, a drugą połowę poświęcała na kulturalne rozrywki. Nie było niemal tygodnia, ażeby Zbigniew nie zabierał swej żony na jakiś koncert, czy do teatru, a oprócz tego często składali znajomym wizyty i przyjmowali u siebie gości. W dni, w których nie mieli w programie żadnych wizyt, czy koncertów, Elżbieta siadała na wygodnym fotelu i czytała na głos jakąś zajmującą książkę. Zbigniew odkładał wówczas gazetę, brał jedną z miękkich poduszek i siadał u stóp żony, opierając swą piękną głowę o jej kolana i przymykając oczy.

Godziny mijały im szybko, a tylko stary antyczny zegar, stojący w rogu pokoju karcił ich i upominał bezustannym powtarzaniem wciąż tego samego:

— Już — czas... idź spać... — już — czas...

A po dniach jasnych i promiennych przychodziły przecudne noce, otulone w granatową, miękką ciszę. Noce pełne najsłodszych pocałunków, i pieszczot najczulszych. Noce krótkie, za krótkie, trwające dla nich tylko parę chwil. Zazdroszczono im wszystkiego. Jej — przystojnego męża, na stałej, dobrze płatnej posadzie, jemu znów zazdrościli młodej, inteligentnej żony, a obydwojgu małego, cichego gniazdka, uwitego gdzieś w bocznej uliczce pustego, dopiero rozbudowującego się przedmieścia.

Złociste dni szczęścia, nie odmierzane żadnym chronometrem biegły szybko, jak na skrzydłach...

Aż przyszedł maj.

Maj, w którym drzemiące gdzieś na dnie serca Elżbiety smutne przeczucia spełniły się. I jakby los chciał spłatać jej najgłupszego figla, najbardziej niemądrego z swych kawałów, wybrał ten najpiękniejszy miesiąc, miesiąc miłości i pocałunków na swego herolda śmierci...

Dnia tego Zbigniew, jak codziennie wyszedł po śniadaniu do pracy. Elżbieta nucąc jakąś piosenkę sprzątała nakrycie. Potem miała wyjść na zakupy, i już ubrana szła do drzwi, gdy zadzwonił telefon.

— Czy pani inżynierowa Lisiecka przy aparacie? — spytał jakiś nieznany, męski głos.

— Tak to ja... O co chodzi?...

— Mąż pani, pan Zbigniew miał przed chwilą mały wypadek, ale...

— Jezus, Maria!! Co się stało?!

— Spadł do niezabezpieczonego otworu na skrzynie. Trochę jest potłuczony, ale przypuszczamy, że to nie będzie nic poważnego. Leży teraz w kancelarii. Nie wiemy, gdzie go odwieźć, do szpitala, czy do domu?

— Ależ naturalnie, że do domu! Ja już tam idę; sama się tym zajmę!

Odłożyła słuchawkę i prędko wybiegła z domu.

— Boże, żeby to tylko nie było nic groźnego... Tak się czegoś lękam...

Wpadła przerażona do kancelarii. Zbigniew leżał na ławce, popijając małymi łykami wodę, którą ostrożnie wlewał mu do ust jakiś mężczyzna. Na widok wchodzącej żony próbował się uśmiechnąć. Przez twarz jego przewinął się grymas bólu.

— Niepotrzebnie przyszłaś... — wyszeptał. — Nic mi nie będzie... Lekkie potłuczenie... przejdzie...

— Ach, najdroższy! Jak ja się boję... Może to naprawdę nic poważnego?

— No, mówię ci... — uspokajał ją. — Bolą mnie tylko trochę plecy i głowa.

Starszy pan, stojący obok Elżbiety ujął ją za rękę i posadził na krześle.

— Niech się pani nie martwi; wszystko będzie dobrze... Zaraz przyjedzie auto i odwieziemy męża do domu.

— Dziękuję panu — powiedziała cicho.

W samochodzie Zbigniew zemdlał. Lekarz, wezwany do rannego orzekł, iż Zbigniew jest jednak poważnie potłuczony i zachodzi obawa, iż mógł dostać wstrząsu mózgu.

Elżbieta zbladła.

— A zatem grozi mu niebezpieczeństwo? — spytała przerażona.

Lekarz rozłożył ręce.

— Droga pani! Nie mogę na razie jeszcze nic o tym powiedzieć. Może się okazać, że moje przypuszczenia są mylne, że sprawa nie przedstawia się tak groźnie, jak na pozór wygląda. Zorientujemy się jutro, gdy się dowiemy jak chory spędził noc.

Lecz przypuszczenia lekarza niestety nie były mylnymi.

Zbigniew oprócz potłuczenia kręgosłupa doznał wstrząsu mózgu. Przez trzy dni był niemal nieprzytomny. Krótkie momenty przytomności utrzymywały Elżbietę w nadziei, że jednak Zbigniew wyjdzie z tego. Przez trzy dni i trzy noce ani na chwilę nie odstępowała męża. Przysłana pielęgniarka musiała w końcu siłą zaprowadzić ją do łóżka, gdyż słaniała się już na nogach.

Czwartego dnia nad ranem, kiedy zmęczona Elżbieta usnęła nareszcie, a pielęgniarka zmieniała kompres na głowie rannego, Zbigniew westchnął cicho i chwycił kurczowo kobietę za przegub dłoni. Na moment podniósł ciężkie powieki, spojrzał na pielęgniarkę, otworzył usta chcąc coś powiedzieć i po chwili ręka jego opadła bezwładnie na kołdrę.

Skonał.

Za oknem wstawał słoneczny majowy poranek, miasto zaczynało swą codzienną pracę, ulice lśniły złotymi promieniami słońca, rozjaśniającymi szary asfalt.

Z przyległego pokoju dochodził szybki, nieregularny oddech Elżbiety, która po przeszło siedemdziesięciogodzinnym dyżurze przy konającym mężu, nareszcie usnęła na chwilę ciężkim, niespokojnym snem...

Elżbieta podniosła białą, wąską dłoń i przetarła oczy, jak gdyby chciała odegnać smutne wspomnienia.

Deszcz zmniejszył się, krople padały rzadko, a intensywna woń rozkwitłych bzów przenikała cały pokój. Zegar melodyjnymi tonami wydzwonił jakąś godzinę.

I znów odległe, niezapomniane wspomnienia stanęły przed oczyma Elżbiety. Poznała swego przyszłego męża na balu, który odbywał się w Laskówce. Był to pierwszy, poważny bal w jej życiu. Dotychczasowe wieczorki, urządzane w Witkowicach, na które zjeżdżali się młodzi ludzie z okolicy były miłym, kilkugodzinnym zabiciem czasu. Tańczyło się, opowiadano wesołe historyjki, flirtowano w odpowiednich granicach i w końcu zapominano o wszystkim. Elżbieta wiedziała, iż podoba się niejednemu z młodych mężczyzn, biorących udział w tych wieczorkach. Wdzięk dwudziestu lat, odpowiednie wykształcenie i posag robiły swoje. Gdyby tylko zechciała, natychmiast któryś z tych panów Borzęckich, Walickich czy Brochwiczów w przeciągu krótkiego czasu mógłby zostać jej mężem. Ale ona czekała...

Jej nie wystarczało samo nazwisko i odpowiednia pozycja towarzyska. W jej życiu dużą rolę odgrywało serce, uczucie i sympatia. Elżbieta postanowiła wyjść zamąż jedynie z miłości. Instynktownie przeczuwała, że tylko małżeństwo założone na tak niezniszczalnym fundamencie jakim jest obustronna prawdziwa i szczera miłość, może przetrwać wszystkie burze życiowe.

Więc czekała...

Bal, który co roku w czasie karnawału urządzała hrabina Rosińska z Laskówki, gromadził całą elitę ziemiaństwa z bliższych i dalszych okolic. Stanowił on niewyczerpany temat do szeregu rozmaitych rozmów, a przygotowania do tej tradycyjnej zabawy czyniono już na długie tygodnie naprzód. Najmodniejsze stroje, najpiękniejsze dekoracje, najobfitszy bufet i najbardziej doborowa orkiestra składały się na program karnawałowej zabawy, trwającej nieraz i trzy dni. Hrabina Rosińska miała szeroki gest. Mimo, iż liczyła już blisko pięćdziesiąt lat i posiadała dwoje dorosłych dzieci, to jednak lubiła się bawić. Lubiła patrzeć na roześmiane twarze młodych ludzi, mających nieraz za cały swój majątek piękne



Zdziwiłem się mocno gdy do redakcji wtoczyła się dozorczyni Szymonowa z drugą jakąś chusteczkową towarzyszką.

— Przyprowadziłam panu redaktorowi moją kumę Walentową. Niedawno temu owdowiała i chodzi jej o jakiś pasujący wierszyk na grób jej nieboszczyka. Ona nie żąda za darmo, tylko, że może zaraz nie zapłaci. Ale ja za nią ręczę, jak za siebie. Ambarasu z pieniędzmi pan nie będzie miał. Tylko żeby wierszyk był jakiś ładny. A wszystko w nim, żeby się trzymało kupy. Podjął się jej zrobić taki wierszyk ten student ze szkoły zawodowo-fachowej, no pan wi ten Tadzio. Chciał raptem pięć złotych, ale ja jej odradziłam. Powiedziałam, że przy takich ważnych okazjach niech idzie tylko do pana redaktora, bo pan na tych wierszydłach już swoje zęby zjadł. Prawda? A zresztą raz tylko w życiu człowiek umiera i dlatego trzeba zrobić raz i porządnie.

Zdecydowałem się spełnić prośbę moich niespodziewanych gości i wywaliłem drukowanymi literami — bo tylko takie umiała czytać pani Walentowa — rzewny napis.

Odczytałem go następnie głośno i wyraźnie:

„Tu spoczywasz po pracowitym żywocie Najdroższy Walenty! Odszedłeś w 58-mym roku życia i osierociłeś mnie złamaną z bólu i płaczącą jak wierzba. Oby mnie Bóg z Tobą połączył jak najrychlej. — Śpij spokojnie!!!

Twoja wiecznie Ci wierna — Wdowa"

Przerwała mi czytanie.

— Pan hecy chyba robi ze mnie?! Przecież z góry powiedziałam, że nie chcę za darmo ten wierszyk.

— Po co pan pakuje na kamień jego lata? Każdy zaraz będzie rachował i moje. Będzie kombinował, że może my oboje w jednakim wieku byli. Pisz pan, że nieboszczyk kłapnął „w kwiecie wieku", lub bardzo młodziutko.

— Albo po co zaraz wyjeżdżać z tym całym nieutulonym żalem i wiecznym płaczem? Przede wszystkim nieboszczyk był pijak, awanturnik, miał kochanki i dosyć się mnie w życiu nawalił. Moja cała nadzieja, że przynajmniej mój drugi będzie jakiś do ludzi. Mam zamiar przecież zamąż wyjść. Do samej śmierci nie chce mi się być wdową. A który przeczyta, że wiecznie myślę tylko o nieboszczyku, to będzie się bał mnie wziąć. Że o nowym niby nie będę myśleć, tylko wciąż o pirwszym. I bez tego każdy boi się żenić z wdową, że ona myślami co chwila przy swoim nieboszczyku. — Komu do szczęścia potrzebna jakaś od płaczu zasmarkana wdowa?...

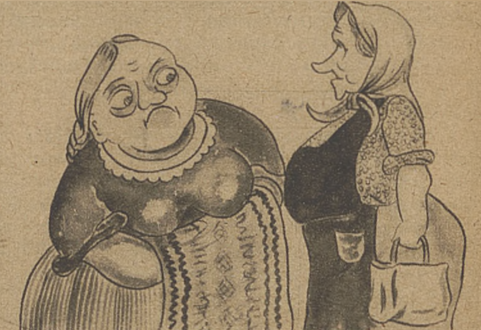
Albo takie kalwaryjskie gadanie: „Twoja wiecznie Ci wierna — wdowa". Ta wierna mu byłam. Zawsze jak zawsze, ale mu dosyć wierna byłam. W każdym razie więcej, aniżeli on mnie. Albo co? Może nie złapałam go ze sto razy z innymi? A raz to jak się ode mnie zabrał, to ledwo za dwa miesiące wrócił. Ładne ziółko z niego było.

— Albo powiedz pan sam — gdzie pańskie sumienie, kiedy pan tu pisze: „Drogi Walenty! Oby mnie Bóg połączył z Tobą jak najrychlej". Dlaczego zaraz najszybciej? Ładnie mi pan życzy. Dlaczego mi pan taki wróg?

Miałam go aż za dosyć tu na ziemi, mam się po co do niego spieszyć na drugi świat. Swoją drogą, jedyna moja nadzieja, że takiego pijaka wpakowali tam nie do raju, lecz że za moje męki pokutuje gorzko w ogniu piekielnym. Chociaż boję się, że skoro go ta wódka za życia nie mogła spalić, to mu i tam żaden ogień nie potrafi zaszkodzić.

Czy pan ma wyobrażenie, co to był za chirus? Zawsze żałował, że monopol tyle spiritusu marnuje na palenie i politurę. —





Zawsze gadał, że nie pojmuje, jak szynkarz ma serce sprzedawać wódkę. On jakby miał restaurację, to by ani kropli drugiemu nie odstąpił.

Com się go naprosiła, żeby przestał chlać. On zawsze na to swoje jedno: „Tylko zwierzę pije zawsze wodę — a wiesz dlaczego? Bo zwierzę nie ma rozumu. Człowiek musi się czymś różnić od bydlęcia. Zresztą jakby wódka nie była dla ludzi, to by nie pozwalali sprzedawać.

Wódka to najlepsze lekarstwo na rymatyz i do nacierania, a ja mam rymatyczny żołądek i muszę ją tam wliwać..." O, panie redaktorze, szkoda, że pan go nie znał osobiście. On tyle pił, że korporacja restauratorów powinna mu z wdzięczności pomnik postawić...

— Jedno pan redaktor pięknie i mądrze napisał: „Śpij spokojnie!" On spał spokojnie. Zawsze tylko spał. Dlatego chciałam z nim wziąć separację. Nie widziałam nawet, że mam męża w domu...

Po długich targach i mękach udało się nam wreszcie przy wydatnej pomocy mojej sekretarki Oli i dozorczyni Szymonowej ułożyć napis na pomnik. Krótki, ale stosowny.

„Śpij spokojnie! Żegnaj mi na zawsze!"

Honorarium za ułożenie tego napisu ustaliliśmy zgodnie na 12 złotych, które Szymonowa nie omieszkała zaraz potrącić mi ze szpery, z którą jej zalegam.

nazwisko. Bale w Laskówce były jedną z nielicznych okazyj, gdzie można było zawrzeć cały szereg nowych znajomości, które potem miały niejednokrotnie swój epilog na ślubnym kobiercu.

Elżbieta, w towarzystwie matki i stryja ginęła początkowo w tłumie wydekoltowanych i czarujących panien. Kilka znajomych osób przywitało się uprzejmie ze stryjem Anzelmem i z matką, a życzliwe uśmiechy, jakimi obdarzono Elżbietę wpłynęły pokrzepiająco na samopoczucie dziewczyny. Wkrótce znalazła się w towarzystwie młodych panien, przeważnie jej rówieśnic, na których często zatrzymywał się pełen podziwu wzrok mężczyzn. Zabawa zaczynała się.

Ukryta dyskretnie pośród ciemnozielonych oleandrów doskonała orkiestra grała najmodniejsze tanga, walce i bostony. Elżbieta początkowo tańczyła rzadko. Kilku znajomych panów poprosiło ją grzecznie do tańca, ale widać było, że czynią to jedynie z uprzejmości. Pięknych panien było dużo więcej niż mężczyzn, więc ci ostatni mieli nieograniczony wybór.

Dochodziła północ. Goście bawili się coraz lepiej; nastrój będący z początku nieco sztywny i wymuszony poprawiał się w miarę upływu czasu. Orkiestra grała pięknego walca „Marzenie" i na ogólne żądanie musiała go trzykrotnie powtarzać. Elżbieta tańczyła z Markiem Walickim, bardzo wesołym, miłym chłopcem, którego znała jeszcze ze szkolnych czasów. Kiedy umilkły ostatnie tony pięknego walca i ostatni akord splótł się z żywiołowymi oklaskami tańczących par, Marek podał ramię Elżbiecie i wyszli ze sali.

I właśnie w drzwiach zetknęła się po raz pierwszy ze Zbigniewem. Szedł w towarzystwie jakiegoś niskiego mężczyzny, który jak się później dowiedziała był jego ojczymem. Obaj mężczyźni, ubrani w świetnie skrojone fraki wyglądali niezwykle dystyngowanie i elegancko. Rozmawiali o czymś z wesołym uśmiechem i nie zauważyli wychodzącej pary. Zbigniew potrącił w drzwiach Elżbietę i natychmiast przeprosił ją grzecznie. I właśnie wtedy . . .

Ile razy Elżbieta przypomni sobie tę chwilę, ten krótki moment, gdy jej oczy spotkały się z wzrokiem Zbigniewa, w którym malował się zachwyt bez granic, tyle razy serce jej doznaje dziwnego, rozkosznego uczucia.

Dotychczas nigdy nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia; nazywała to zaślepieniem, obłędem, ale z tą chwilą gdy poczuła na sobie zachwycone spojrzenie Zbigniewa zaczerwieniła się gwałtownie i cały spokój i pewność siebie runęły w jednej chwili, jak drewniany domek przewrócony silnym podmuchem wiatru.

Dłuższą chwilę trwało nim wreszcie doprowadziła do porządku wzburzone tym spotkaniem serce, nie znające dotychczas uczucia prawdziwej miłości. Walicki nie widział, albo może udawał, iż nie widzi jej zmieszania. Skłonił się z daleka Zbigniewowi i przeszli do oranżerii.

— Kim jest ten młody człowiek, który mnie przypadkowo potrącił przy wyjściu? . . . — spytała, usiłując nadać swemu głosowi naturalne brzmienie.

— To inżynier Lisiecki; daleki krewny hrabiny Rosińskiej. Wrócił niedawno z zagranicy . . .

— Tak? . . . — zdziwiła się z mistrzowską niemal obojętnością. — Może będziesz tak uprzejmy i przedstawisz mi go . . .

— Ależ z przyjemnością!

Zerwał się z wygodnej, obitej skórą ławeczki i wybiegł z oranżerii. Po chwili wrócił w towarzystwie Zbigniewa.

— Pozwolisz Elu, że ci przedstawię inżyniera Lisieckiego, doskonałego fachowca we wszystkich dziedzinach, a zwłaszcza w podbojach serc niewieścich!

— Proszę cię, Marku, nie oczerniaj mnie przed panią . . . Gotowa pomyśleć, że naprawdę całym moim zajęciem jest zastawianie sideł na piękną „zwierzynę" . . .

— No, dobrze, dobrze mon ami . . . Znasz chyba przysłowie francuskie: Qui s'excuse, s'accuse! Więc nie usprawiedliwiaj się . . .

— Widzi pani, jak Marek usilnie stara się o to, aby przedstawić mnie w jak najgorszym świetle? I pewnie wyrobiła sobie już pani zdanie o mnie.

— O tak! — zaśmiała się. — Od samego początku poznałam się na panu.

Zbigniew udawał zakłopotanego.

— Więc co mam robić, aby zasłużyć jeśli nie na przebaczenie, to przynajmniej na chwilowe zapomnienie mych win?

— W pierwszym rzędzie będzie pan musiał poprosić mnie do tego tanga . . .

— Z największą radością przyjmę taką pokutę i gotów jestem popełnić nowe „występki", bylebym miał pewność, że jako zadośćuczynienie będę musiał zatańczyć z panią.

Słodka melodia tanga, budząca tęsknotę i dziwne, niewysłowione pragnienie rzuciła czar na tańczące pary. Umilkły rozmowy i tylko ściszone szepty splatały się z czułym, namiętnym refrenem.

Elżbieta przytulona do szerokiej piersi Zbigniewa zapomniała o całym świecie. Mogłaby tak tańczyć przez całą noc i na pewno w jego ramionach nie odczułaby najmniejszego zmęczenia. Jej piękne, złoto-brązowe włosy co chwilę ocierały się o twarz mężczyzny. Patrzeli sobie prosto i szczerze w oczy i z ust ich nie padło żadne słowo. Dopiero gdy umilkły tony tanga, Zbigniew podniósł do ust białą, wąską dłoń Elżbiety i wyszeptał:

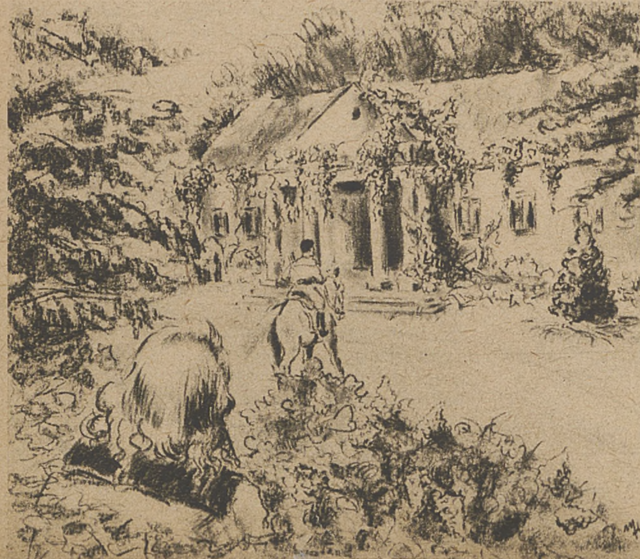
— Dziękuję pani za najpiękniejsze tango, jakie kiedykolwiek tańczyłem.

Zmieszała się i wydobyła z trudem tylko jedno słowo:

— Proszę . . .

I zaczęła w sercu dziewczyny kiełkować miłość, jak kiełkuje zboże rzucone hojną ręką siewcy na dobrą glebę.

Spotykali się często, urządzali dłuższe spacery i powoli, powoli stali się sobie tak potrzebni, jak woda lub słońce, bez którego nie można by żyć. Aż przyszedł maj . . .



Pewnego popołudnia Elżbieta stojąc na ławeczce w ogrodzie ścinała ciężkie kiście liliowego bzu, upajając się słodkim zapachem delikatnych kwiatów, gdy nagle usłyszała tętent konia. Wyjrzała spoza gęstwy zielonych liści i spostrzegła Zbigniewa, zeskakującego z konia. Rozmawiał kilka minut z lokajem i po chwili wszedł do domu.

Cała krew z twarzy Elżbiety spłynęła do serca. Upuściła bukiet bzów na ziemię i podniosła wąskie białe dłonie do góry. Przeczucie mówiło jej, że dzień ten będzie dla niej bardzo ważnym.

— Boże! Jak mi serce bije . . . — szeptała, podtrzymując oburącz ramiączko ślicznego szlafroczka, które rozpruło się przy gwałtownym ruchu.

— Żeby tylko mnie nie spostrzegł! Żebym zdążyła się przebrać . . .

Ale w tej chwili z głębi pokoju rozległ się głos matki:

— Elżuniu! Mamy gościa.

Nie odzywała się, chąc ukradkiem prześliznąć się do swego pokoiku.

— Panno Elżbieto! — zawołał Zbigniew, a po chwili spostrzegła, jak pochylił się, zamieniając kilka słów z matką.

— Och, Boże! Pewnie pójdzie mnie szukać . . . — pomyślała z przerażeniem.

— Rzeczywiście!

Po wysypanej żwirem alei szedł Zbigniew gwiżdżąc pod nosem i uderzając się szpicrutą po wysokich butach do konnej jazdy. Patrzył uważnie na wszystkie strony, aż wreszcie dostrzegł różowo-seledynowy szlafroczek Elżbiety.

— Nareszcie panią znalazłem! — zawołał, stając przed dziewczyną.

— Musi mi pan wybaczyć, panie Zbigniewie — rzekła z zakłopotaniem, podtrzymując obsuwający się szlafroczek — że się nie witam z panem, ale zdarzył mi się maleńki wypadek. Zawadziłam o gałąź i rozprułam szlafrok . . .

— No to przecież nic się takiego nie stało! — wykrzyknął z łobuzerskim uśmiechem. — Może pani zupełnie spokojnie odjąć swe ręce od pękniętego ramiączka. Ja zamknę na chwilę oczy . . .

To mówiąc wyciągnął z klapy małą szpileczkę o kolorowej główce i wręczył Elżbiecie.

— Dziękuję panu . . . — odparła przypinając zręcznie oderwany kawałek materii. — Należy się panu za pomoc nagroda. Oto gałązka bzu . . .

Podniosła zerwany przed chwilą kwiat i podała Zbigniewowi.

— Merci! — skłonił głowę w szarmanckim ukłonie. — Ale dla mnie to jest niewystarczające . . .

— Niewystarczające? No tak; panu jest zawsze wszystkiego za mało. Pan chciałby zawsze dostać najwięcej. A przecież trzeba nieraz poprzestać na małym . . .

— Nie, panno Elżbieto! Wszystko — albo nic! Oto jest moja dewiza. Nie uznaję półśrodków, nie godzę się na kompromisy. Wszystko — albo nic!

Elżbieta milczała przez chwilę, a potem podniosła ze ziemi rozsypane kiście bzu.

— Może zechce pan obejrzeć mój ogród? — spytała.

— Z prawdziwą przyjemnością . . .

Wyszli na wysypaną żwirem ścieżynkę, biegnącą pośród zielonych, doskonale utrzymanych trawników. Zbigniew rozglądał się ciekawie po ogrodzie, stojącym w całym przepychu kwitnących kwiatów. Z pobliskiego sadu szedł słodki, delikatny zapach rozkwitających wiśni.

Złociste włosy Elżbiety przybierały w jasnych promieniach słońca bursztynowy kolor. Rumieniec na twarzy młodej kobiety, świadczący o zakłopotaniu, prześlicznie harmonizował z migotliwym błyskiem w jej niebieskich oczach, w których malowało się prawdziwe szczęście.

— Jaka piękna róża . . . — rzekł półgłosem Zbigniew, patrząc w oczy Elżbiety.

— Ależ to nie jest róża, panie Zbigniewie! Czy pan już nie odróżnia kwiatów?

— Mówię w tej chwili o prawdziwej róży . . . — odparł, kładąc nacisk na dwa ostatnie słowa.

Zrozumiała.

— A czy pan wie o tym, że wszystkie róże mają kolce?

— Nie wszystkie! Ta właśnie wyjątkowo ich nie posiada.

— Skąd to przypuszczenie?

— To nie przypuszczenie. To absolutna pewność. Zaraz pani dowiodę, że moja róża nigdy mnie nie ukłuje . . .

— Jestem bardzo ciekawa pańskiego eksperymentu.

— A więc, panno Elżbieto . . . Kocham panią i proszę o jej rękę!

Cały ogród zawirował przed jej oczyma. Zbigniew stał przed nią, a na jego twarzy widniała stanowczość i upór. Jeszcze nigdy Elżbieta nie widziała go tak poważnego.

— Czy to był żart z pańskiej strony? — spytała blednąc.

— Nigdy w życiu! Mówię całkiem serio. Nie żartuje się z takich rzeczy. Kocham panią miłością naprawdę szczerą i bezgraniczną i jestem przekonany, że pani nie skorzysta ze swych cierni, aby mnie ukłuć nimi boleśnie . . .

— A jednak spotka pana zawód . . . Bardzo mi przykro, iż muszę rozwiać pańskie złudzenia, bo ja sama . . . bo ja też . . . kocham pana, ale . . .

— Ale?!

— Przegradza nas jedna osoba, względem której ma pan poważne zobowiązania.

Zbigniew zmarszczył brwi.

— Mówi pani o Annie Kowickiej, mojej byłej narzeczonej . . . Tak? . . .

— Jakto „byłej"? . . . Przecież pan . . .

— Jeszcze do niedawna była rzeczywiście ta przegroda, o której pani wspomniała, ale przed tygodniem nasze zaręczyny zostały zerwane. Rozeszliśmy się w zupełnej zgodzie i nadal będziemy dla siebie parą przyjaciół, ale tylko i wyłącznie przyjaciół. Anna zwróciła mi pierścionek i odtąd nic już nie stoi na przeszkodzie naszemu połączeniu się.

W oczach Elżbiety tkwiło bezgraniczne zdumienie.

— Czy tak jest naprawdę? — spytała podejrzliwie.

— Daję pani na to moje słowo honoru! Są to dla mnie sprawy naprawdę zbyt poważne, aby można je było traktować humorystycznie. Wszystko teraz zależy od pani. Jedno słowo, a życie moje stanie się od razu inne; cały świat zmieni się w taki zaczarowany kwitnący ogród . . .

Elżbieta uśmiechnęła się promiennie i zarzuciła ramiona na szyję Zbigniewa.

— Kocham cię, najdroższy . . .

Ogród tonął w przepychu rozkwitłych kwiatów. Od sadu ciepły wiatr przynosił upajającą woń kwitnących wiśni, która łącząc się ze słodkim zapachem bzów, roztaczała w powietrzy najpiękniejszy aromat naturalnych perfum.

Usta Elżbiety pachniały wiosną i słodką wonią bzów . . .

Następnego dnia Zbigniew oficjalnie poprosił panią Adelę o rękę jej córki Elżbiety.

Zapadał cichy majowy zmierzch.

Deszcz ustał, a z wilgotnych liści spadały na ziemię duże krople dżdżu. Elżbieta zamknęła okno i narzuciła na plecy wzorzysty szal. Postanowiła przejść się trochę. Tak przy- …nie musi być teraz w ogrodzie po tym odświeżającym …płym deszczu . . .

Na ganku zetknęła się z matką.

— Wychodzisz? — spytała pani Adela.

— Tak . . . Przejdę się po ogrodzie.

— Wracaj wnet, bo zaraz podadzą kolację.

— Dobrze, mamo . . . — odparła całując matkę w rękę.

Staruszka pogładziła złociste włosy córki i westchnęła. Weszła po mokrych, kamiennych schodkach do domu, zamykając cicho drzwi za sobą.

Elżbieta szła powoli przez aleję.

Liliowy zmierzch otulał swym płaszczem ogród, cały pogrążony w wilgotnej, ciepłej ciszy. Na granatowe niebo poczęły wychodzić, zrazu nieśmiało a potem całymi hufcami milionowe roje gwiazd. Ogromny księżyc wytoczył się zza wierzchołków drzew, oblewając srebrzystym światłem czarne, oddychające wilgocią krzewy bzów. Z maleńkiego gardziołka ukrytego gdzieś w pobliżu słowika zadzwoniły słodko pierwsze tony miłosnej melodii. Odpowiedziały mu niby odległe echa przeciągłe trele jego towarzyszy. Zaczynał się majowy koncert najświetniejszych śpiewaków spośród ptasiej rzeszy.

Elżbieta stanęła. Przymknęła oczy, słuchając przecudnego śpiewu słowików.

— Dlaczego nie ma cię dzisiaj, Zbigniewie . . . — wyszeptała drżącym głosem. Spod przymkniętych powiek spłynęły po jej twarzy dwie duże łzy.

— Wróć do mnie, jedyny . . .

Przepiękna melodia słowicza urwała się nagle. Ktoś szedł aleją . . . Elżbieta słyszała szybkie kroki intruza, idącego spiesznie po żwirowanej alei.

— Pewnie ktoś ze służby z oznajmieniem, że kolacja stygnie na stole . . . — pomyślała z niechęcią.

Kroki umilkły i jakaś ciemna postać rysująca się niewyraźnie w mroku stanęła przed Elżbietą. To nie był nikt ze służby . . .

Elżbieta podeszła bliżej . . .

I nagle doznała takiego uczucia, jak gdyby ktoś uderzył



ją mocno w tył głowy. Szeroko otwarte oczy patrzyły przerażone na stojącego przed nią mężczyznę. Ręce trzęsły się jej, jak w ataku febry, a przez zaciśnięte gardło dobywał się szybki, świszczący oddech.

Przed nią stał Zbigniew!

Matowe światło księżyca oświetlało wyraźnie wysoką postać mężczyzny, patrzącego ze smutnym uśmiechem na Elżbietę. To samo piękne czoło, ten sam wzrok czuły, niekiedy wesoły, te same czerwone usta.

— Boisz się, Elżuniu? . . .

W jednej chwili znikł gdzieś cały strach i obawa.

— Nie, Zbigniewie . . . — odparła odważnie — tylko widzisz . . . byłam trochę zaskoczona twym nagłym przybyciem. Przecież ty nie żyjesz!

— Tak, ale cóż z tego? . . . Sama wiesz przecież, że istnieje na świecie coś, co jest potężniejsze niż śmierć . . . Coś, co nie kończy się tu na ziemi, ale trwa wiecznie . . .

— Miłość . . .

— I wierzysz chyba, najdroższa, że się kiedyś znów spotkamy? . . . Wierzysz w to, bo przecież Chrystus kazał nam w to wierzyć . . . Pamiętasz: Cokolwiek zwiążecie na ziemi będzie związane i w niebie . . .

— Wierzę, najdroższy mój! Wierzę, że się znów spotkamy i jest to dla mnie tak pewne i nie ulegające żadnym zastrzeżeniom i wątpliwościom, jak to, że w tej chwili widzę ciebie i rozmawiam z tobą . . .

Słaby cień uśmiechu przewinął się przez usta Zbigniewa.

— Będę czekał na ciebie, Elżuniu . . . Kochaj mnie wciąż i myśl często o mnie . . .

— Będę zawsze marzyła o tobie i dotrzymam ci słowa danego kiedyś przed Bogiem. Czekaj na mnie Zbigniewie . . . Albo już teraz zabierz mnie ze sobą . . . Ty wiesz przecież, jak mi bez ciebie smutno i ciężko . . .

— Jeszcze czas, Elżuniu . . . Jeszcze czas . . . Gdy się wszystko wypełni, co jest zapisane tam, u Przedwiecznego, gdy wszelki osad i brud ziemski zmyje się z naszych dusz, wtedy złączymy się w jedność i staniemy biali jak śnieg przed Tronem Najwyższego. Ty i ja . . . Żegnaj najdroższa i myśl o mnie . . .

— Zaczekaj jeszcze chwilę, Zbigniewie . . . Nie odchodź jeszcze!

— Muszę już odejść, najdroższa . . . Do widzenia, Elżuniu . . .

Zerwał rozkwitłą gałązkę liliowego bzu i podał Elżbiecie.

Patrzyła w milczeniu, jak wyraźna sylwetka Zbigniewa rozpływa się powoli i znika . . . Jeszcze jeden uśmiech, jedno skinienie rąk i ciemne krzewy bzów zasłoniły i pochłonęły najdroższe jej sercu zjawisko.

Słowiki znów rozpoczęły majową pieśń miłości . . .

— — — — — — — — — — — —

Zaniepokojona dłuższą nieobecnością córki, kazała pani Adela udać się służbie do ogrodu na poszukiwania. Zapalono światła i szybkie, nerwowe biegania spłoszyły słowiczy chór. Księżyc oblewał srebrną poświatą cały ogród, pełny gwaru i niespokojnych rozmów.

Po dłuższej chwili Antoni, młody lokajczyk znalazł zemdloną Elżbietę, leżącą na mokrej od deszczu trawie. W zaciśniętej kurczowo dłoni trzymała gałązkę bzu o dziwnej, niespotykanej barwie.

Bez był koloru czerwonego, o tak purpurowym odcieniu, jaki spotyka się tylko wśród krwawych, płomiennych róż. Drobne kwiatki zdawały się płonąć jakim śdziwnym ogniem.

Antoni stał długo, patrząc z ogromnym zdziwieniem na purpurowy be . . .

W. Conradowiczówna

Miraże Szczęścia

Dziwnie męczyła dzisiaj Adę praca biurowa. Gdy załatwiała korespondencje wielkiej firmy towarowej, gdy w treściwych słowach odpowiadała na listy, zdawało się jej, że te różne techniczne, zawodowe wyrażenia słyszy po raz pierwszy i że nie zdoła zrozumieć ich sensu.

— Jestem przemęczona — pomyślała. Nie miała w tym roku urlopu, trzeba było zastępować chorą koleżankę, dopatrzeć innych urzędniczek, nad którymi jako kierowniczka przedsiębiorstwa, miała nadzór, trzeba było wszędzie we wszystko wniknąć, zbadać każdy szczegół, porównać korespondencje, porozumieć się z danym działem, zanim odpowiedź przemyślana i ujęta w właściwą formę, znajdzie się przed oczami generalnego dyrektora.

Ada cieszyła się zupełnym zaufaniem firmy. Ceniono jej dokładność, jej prędką orientację, jej pracowitość. W ślad za uznaniem szła i niezła pensja i życzliwość kolegów i przełożonych.

Biuro było dla Ady drugą rodziną, tym więcej, że właściwej rodziny prawie nigdy nie miała. Wcześnie opuściwszy dom rodziców, by zarabiać samodzielnie na kawałek chleba, oddaliła się od nich, zaabsorbowana swą pracą i, co za tym idzie, zerwała te nici codziennego przyzwyczajenia, które nieraz zastępują miłość rodzinną czy przywiązanie.

Dążąc do samodzielności, Ada stała się obcą wszystkim i wszyscy jej stali się obcy. W miarę lat — pracowała w biurze już lat kilka — stała się częścią składową przedsiębiorstwa, jakimś żyjącym robotem, zaopatrzonym w tak zwaną „tablicę rozdzielczą" w postaci sprawnie działających komórek inteligencji, jaką się widuje w elektrowniach z odpowiednimi kontaktami.

Lecz dzisiaj, chociaż otworzyła dużą niebieską teczkę z aktami — trzeba było się zapoznać z korespondencją, prowadzoną w pewnej sprawie — nie mogła czytać spokojnie: Ada, taka zrównoważona, opanowana, była dnia tego pełna niepokoju, tęsknot nieokreślonych, marzeń. Lekki wiatr poruszał gałęziami drzew w małym ogrodzie, który okalał tylną część budynku, w którym pracowała. Było tam pięknie i zacisznie: jakby miniatura raju. Wzdłuż ścian, otaczających ogród, stały krzaki osypane czerwonymi kulami kwiatów, w środku ogrodu spory trawnik, pięknie, równo strzyżony pogłębiał perspektywę i dawał złudzenie większej rozległości, niż było w rzeczywistości.

Ada kochała ten mały ogród: może dlatego, że bliższa jej była piękna natura niż ludzie, może też dlatego, że znajdowała w tym widoku pewne uspokojenie po wytężającej pracy w biurze. Zresztą ogród ten przypominał jej życie: otoczony murem zewsząd odcięty był od szerszych nurtów życia, a kwiaty rosnące w nim były jakieś dziwnie filigranowe, spokojne, o ile można tak powiedzieć o kwiatach, nie miały nic z żywiołowości dzikiej wegetacji, przypominały raczej pod szkłem hodowane rośliny.

Życie Ady też było takie zamknięte, jak ten ogród: podobnie ciche i podobnie oderwane od reszty świata. Niewiele było w nim chwil dobrych, wspomnień serdecznych, a te, które były, chowała Ada w otchłani serca.

Zbliżał się koniec zajęć biurowych. Pochowała akta. Poprawiwszy przed lustrem włosy i włożywszy na siebie lekki płaszcz letni, rozejrzała się jeszcze po swym gabinecie, chcąc sprawdzić czy wszystko jest na swoim miejscu, czy wszystko jest w porządku i wyszła.

Na ulicy owiał ją lekki wietrzyk ciepły, ale nie gorący. Południe tego dnia miało jakąś dziwną miękkość, jak na zmierzchu lata. Poprawiając od czasu do czasu poły płaszcza szła wolno wśród żywego gwaru ludzkiego. Ten gwar zdawał się przemawiać do jej duszy zrozumiałą od dawna, umiłowaną mową życia, potwierdzać mądrą koncepcję walki. Wreszcie skręciła w drzwi wytwornej sali restauracji. Była głodna, a poza tym chciała znaleźć się wśród doborowej publiczności.

Rozejrzała się wokoło: już wzrok jej miał powrócić do karty z potrawami, gdy przy jednym spośród licznych stolików dojrzała człowieka, na którego widok przywarło do niej bezcenne, a wiecznie żywotwórcze w jej duszy wspomnienie. Za cenę tych wspomnień odkopanych przez Edwarda postanowiła odpłacić się odpowiednio.

— Ado, cóż za dobre nieba sprowadziły panią do tej restauracji? — usłyszała znany jej matowy głos zbliżającego się ku niej Edwarda.

— Nie tyle dobre nieba co głód.

— Co się z tobą działo? Od pięciu lat jak ciebie straciłem z oczu i wyjechałem stąd, nie przestałem myśleć o tobie i starałem się dowiedzieć, co się z tobą dzieje! Ale nikt nie mógł mi nic o tobie powiedzieć. Przypuszczałem, że skończyłaś prawo — byłaś zawsze dobrą i pilną studentką i że wyszłaś zamąż. Gdzieżeś się tak zaszyła?

Ada uśmiechnęła się smutnie. Ale naraz podniosła odważnie głowę, uśmiech jej stał się wyraźniejszy, jakiś pewny siebie, nieomal wyzywający.

— A tak! Zgadłeś! Wyszłam zamąż za miłego, dobrego człowieka, który mnie bardzo kocha, mam mój dom, dziecko i jestem bardzo szczęśliwa. — Mówiła prędko, nieomal jakby recytując swe słowa.

— Za kogo wyszłaś zamąż? — pytał z pewnym rozczarowaniem Edward.

— Nie znasz go! Mój mąż ma fabrykę... fabrykę dachówek! Jest świetnym sportowcem, wesołym, energicznym człowiekiem. No i — pochyliła się ku niemu zalotnie — bardzo przystojnym mężczyzną.

Edward rzucił badawcze spojrzenie na Adę.

— No to świetnie! Bo wiesz, miałem coś niecoś nieprzyjemne wspomnienie z naszej ostatniej pogawędki. Przypominasz sobie?

Ada spoważniała. Lecz rozerwały się już niepojęte, tajemnicze węzły dwu istnień, spajające w jedną całość Adę z Edwardem.

— Ach, to dziecinne wspomnienia! Kiedyż to było w ogóle?

— Jakto kiedy? No przecież pięć lat temu! Była jesień, zdawaliśmy egzaminy... Spotkaliśmy się potem w małej cukierni... Mieliśmy się pobrać...

— Nie bardzo wiem, jak to już było! Byliśmy wtedy trochę smarkaczami! Może to był tylko taki przejściowy flirt?

— Nie, Ado, to było szczere. Widzisz ja ciebie też kochałem, ale moja przyszłość taka jeszcze była mglista, tyle pozostawało do zrobienia, dwa lata prawa jeszcze, potem praca w sądzie i tyle etapów, zanim mógłbym otworzyć kancelarię! Bałem się, że wiążąc się z tobą, wciągnę ciebie i siebie w sytuację więcej jak ciężką i bez wyjścia.

Edward bawił się kawałkiem chleba: kręcił z niego kulki i miąższem oblepił nóżkę kieliszka. Słowa nie następowały gładko po sobie: każda z nich przywodziła mu na myśl wspomnienia o flircie z młodą studentką, flircie, który pozostawił mimo wszystko, głębsze wrażenia.

— To jedynie, Ado, wstrzymywało mnie od małżeństwa i związania mych losów z twojemi. Is facit cui prodest. Nieprawdaż? — dokończył na usprawiedliwienie. I dodał cicho po chwili: — Kochałem cię naprawdę.

— Słyszałam, że się też ożeniłeś!

— Tak, ożeniłem się. Ale powiem ci szczerze: moje małżeństwo wisi już na włosku i zapewne dojdzie między nami do rozwodu.

— O, to przykre! — Ada spojrzała na Edwarda: nie widział jej wzroku, był zaabsorbowany nerwowem obdzieraniem pudełka zapałek z naklejki. Oczy Ady zabłysnęły: zazwyczaj szare, spokojne, raczej poważne zatliły się czułością, stały się duże i świecące.

— Widzisz, Ado, człowiek się uczy całe życie. Zdawało mi się, że Zofia będzie dla mnie idealną żoną. Robiła wrażenie dobrej, inteligentnej. Okazała się płytką, mściwą, złą kobietą. Nie rozumiemy się i męczymy się ze sobą. A ty czy jesteś szczęśliwa?

— Bardzo, Edwardzie, bardzo. Mój mąż zwierza mi się z swych projektów, dzielimy się każdą swą radością, a największym naszym łącznikiem jest nasz cudny chłopak.

— Ile ma lat?

— Teraz skończy . . . cztery!

— Jak mu na imię?

— Edward! — odparła nieco zawstydzona.

— Tak jak ja! Boże drogi, czyżbyś o mnie wtedy pamiętała, gdy wszystko się między nami skończyło, gdy wyjechałem i nie dawałem znaku życia?

— Tak, pamiętałam o tobie! — rzekła cicho.

— A męża kochasz?

— O, bardzo, bardzo! Jest taki dobry, rycerski, miły, inteligentny. Tak mnie rozumie. Tyle mamy sobie do powiedzenia.

Naraz twarz Edwarda przyjęła wyraz weselszy, spojrzenie miał jakby ubawione, usta jego śmiały się.

— Dlaczego jadasz w restauracji... sama? — zapytał.

— Mąż wyjechał na wakacje, na letnisko. Zabrał ze sobą służbę i dziecko. Ja muszę tu jeszcze czegoś dopilnować i wkrótce też wyjeżdżam, dlatego właśnie jadam w restauracji, bo w domu nikogo nie ma.

— Naprawdę? Czy nie udajesz czasem, Ado? — pytał dalej Edward.

Po co mam udawać? W tym nie ma nic nadzwyczajnego.

— Nic, zdawało mi się, że zmyślasz trochę! Że mąż i dziecko są wytworem twej fantazji, że nie masz ani domu ani dziecka.

Spojrzała na niego zła, obrażona.

— Śmieszny jesteś! Niby co w tym niemożliwego.

— To po prostu, że nie podejrzewałem cię o tak prędką zmianę uczuć!

— Trudno aby miłość studencka była na całe życie jedynym moim celem!

— Zapewne! — odparł Edward smutnie. — Ale wiesz co, Ado, wobec tego, że jesteś sama i nic cię nie krępuje, spędzimy dzisiejszy wieczór razem, pójdziemy na dancig, pogwarzymy o dawnych czasach. Dobrze?

Spojrzała na niego: na ustach pojawił się bolesny uśmiech.

— Nie mogę, niestety, drogi Edwardzie. Muszę być w naszej willi i zająć się pakowaniem rzeczy, bo jutro je już wysyłam. Bardzo bym chętnie z tobą pogawędziła, ale co zrobić. Może innym razem. A kiedy będziesz znów u nas?

Edward ujął jej rękę i pocałował kilkakrotnie.

— Nie tak prędko, a raczej sam nie wiem kiedy. W tym mieście nie mam żadnych spraw. Chyba ciebie...

Wstali od stolika. Na dworze było pięknie, łagodnie, ciepło.

— Mogę cię odprowadzić?

— Wezmę taksówkę. Mieszkamy dosyć daleko i zmęczyłbyś się takim długim spacerem.

Podeszli do dorożki. Szofer otworzył drzwiczki.

— Więc do widzenia, Ado. Będę o tobie myślał. Jak dotąd. Nie zapomnę ciebie.

— Nie zapomnisz? — spytała bojaźliwie.

— Nie.

Podała mu rękę. Prędko nie patrząc mu w oczy, wsiadła do taksówki. Zatrzasnęły się drzwiczki.

— Na ulicę Polną — powiedziała szoferowi.

Edward zdjął kapelusz i żegnał ją ruchem ręki.

Zawarczał motor. Ruszyli.

Ada przytknęła ręce do twarzy i poczęła gwałtownie płakać.

Dopiero teraz mogła dać upust swej boleści.

Dom, kochający mąż i dziecko! Miraże, miraże szczęścia. Ale w tym wyrzeczeniu się, w tej heroicznej grze czuła jakieś bolesne zadowolenie.

MĄDRY MISIO... PO SZKODZIE



Mama właśnie wyszła z domu...
Myśli misio. W to mi graj!
Zaraz pójdę sam na spacer!!!
Taka wolność, to mi raj!



Słonko świeci, w koło cudnie...
Górska ścieżka wiedzie w dół,
Nawet skakać można po niej!
Bo równiutka — jakby stół!



O jej! Kamień był na ścieżce...
Chuchać, dmuchać... aż tchu brak...
Misio w kamień trącił łapką,
To okropnie boli tak!



Szczęściem właśnie wraca mama!
Polizała cały kram,
„Już nie boli!" „Jeszcze troszkę..."
„Już nie pójdę nigdy sam!"

Foto-Kaiser

Tekst: Stef-Kra.

MELODIE POD GOŁYM NIEBEM

(Dokończenie ze strony 5)

W tak pomyślanej imprezie artystycznej w takim koncercie robotniczym, uczy się równocześnie pracownik poznawać piękno dzieł wielkich kompozytorów, taki koncert pozwala na odprężenie i wytchnienie w kieracie mozołu i szarzyzny codziennych zajęć, będąc zarazem dowodem uznania i pochwały wysiłku twórczego ze strony kierownictwa danej placówki dla jej rąk roboczych.

Repertuar koncertu objął uwerturę do opery „Sprzedana Narzeczona" Smetany, „Krakowiaka" Żelińskiego, fragmenty z „Halki" Moniuszki, oraz uwerturę do opery „Rienzi" Wagnera, stanowiącą zakończenie tego ze wszech miar interesującego i co najważniejsze, udanego pomysłu artystycznego.

Orkiestra wykonała program z doskonałym zgraniem zespołu, wyczuciem subtelności odtwarzanych utworów, znajdując poklask zadowolonych i porwanych słuchaczów. Podobnie i soliści wywiązali się wspaniale z trudnego zadania koncertowania pod gołym niebem.

Pięknie brzmiał wysokiej klasy sopran p. Reny Kopaczyńskiej, owładając całkowicie audytorium w arii „Halki"; W duecie Halka-Janusz zespolił się melodyjnie, ciepłą tonacją z miłym dla ucha barytonem p. Antoniego Wolaka. Niemniejszą zasługę w postawieniu koncertu na odpowiednim poziomie należy przypisać także czystemu tenorowi p. Józefa Prządy, budzącemu szczery zachwyt audytorium arią Jontka i duetem Jontek-Janusz.

Rzęsiste brawa wynagrodziły Dyrygenta, Orkiestrę i Solistów, świadcząc o nastroju słuchaczów i ich wdzięczności.

ROZMAITOŚCI

DON JUAN W MASARNI

Zabawa, na tle której można napisać nowoczesną komedię, zaczęła się w zakładzie balbierskim koło Porta Monforte. Lokal był przepełniony, bo podczas wojny z powodu braku personelu trzeba dłużej czekać niż zwykle. Skracano sobie czas rozmową, między innymi poruszano też sprawy kulinarne, które kawalerom muszącym jadać po różnych restauracjach sprawiały niejednokrotnie dużo kłopotu. W sprawie tej tak bardzo interesującej wszystkich zabrał głos pewien młodzieniec oczekujący swej kolejki.

— Ja uważam — powiedział on, — że człowiekowi nieżonatemu nie jest dziś trudniej wyżywić się niż posiadającemu rodzinę. Co do mnie muszę powiedzieć, że odżywiam się całkiem tak jak przed wojną. — I na potwierdzenie tych słów wyciągnął z teczki kawał wędzonej kiełbasy i starał się przy pomocy przekąski w bardzo miły sposób skrócić sobie czas czekania. Ze zdumieniem zapytano go w jaki sposób może tego dokazać, by na odcinki kart żywnościowych przypadające na niego zjeść na śniadanie całą kiełbasę.

— Kart żywnościowych nie potrzeba do tego — powiedział spokojnie. Na pytanie cyrulika czy może jest paskarzem trudniącym się pokątnym handlem młodzian oburzył się. On nigdy nie popełni rzeczy będących z prawem w kolizji, jemu wszystko podarują jak np. tę piękną kiełbasę. Wszyscy goście w zakładzie fryzjerskim zaczęli przysłuchiwać się tej interesującej rozmowie. Podarują? Kto dziś może otrzymać coś takiego w podarunku? Nic łatwiejszego — zaśmiał się młody człowiek. Zrobię słodkie oczy do masarki i już jest we mnie zakochana. To wszystko. — Ogólne: Och! — powitało te wynurzenia. Don Juan żujący kiełbasę zaczął teraz opowiadać jak to on przez zręczne komplementy i zapewnienia miłosne dostaje od głupiej masarki szynkę, salceson, salami, kiełbaski i inne przysmaki. — Straciła całkiem dla mnie głowę — zakończył swą opowieść, — tak że musiałem jej wyznaczyć randkę, gdy jej mąż wyjedzie z M.

Podczas gdy słuchacze zanosili się od śmiechu, jeden z klientów, łysy jegomość, który właśnie ukończył swą toaletę, zapytał go o nazwisko tej durnej masarki. On by chciał także zrobić do niej słodkie oczy. — O, to jest niedaleko stąd, zaraz na rogu — odpowiedział młodzieniec siedząc już na krześle fryzjerskim, na Via Monforte. Zaledwie wyrzekł te słowa, pan z łysiną wydał okrzyk wściekłości. — Ty draniu! To o mojej żonie mówisz! Jestem masarzem z Via Monforte. — I rzucił się z pięściami na sprawcę swej hańby, który namydlony i w biały płaszcz odziany, nie mógł się dobrze bronić. Napróżno wystękał kiełbasiany Don Juan w krótkich przerwach między razami, spadającymi na niego, że żartował tylko. Nadaremnie starał się fryzjer i jego pomocnik powstrzymać szalejącego rzeźnika. — Dawaj kiełbasę! — wołał ten wciąż — muszę się sam przekonać czy rzeczywiście pochodzi z mego sklepu. Dzika walka toczyła się koło kawałka kiełbasy. Wreszcie młody człowiek nie mogąc dać rady rzeźnikowi, w rozwianym płaszczu fryzjerskim wybiegł na ulicę. A za nim rzeźnik z okrzykiem: — Trzymajcie go! — Obaj wylądowali w komisariacie policji. Tam po sprowadzeniu jeszcze masarki okazało się, że Don Juan był blagierem pierwszej klasy. Korpulentna pani masarka wyprosiła sobie bardzo energicznie tego rodzaju insynuacje, a młodzieniec oświadczył, że kiełbasę otrzymał drogą legalną na kartki mięsne dla siebie i swego rodzeństwa. Opowieścią swą chciał tylko zabawić trochę klientów balbierza.

PORCJA LODÓW RATUJE ŻYCIE

Nigdy żadna lodziarnia nie cieszyła się taką frekwencją jak lodziarnia Williama Cosicka z Filadelfii. Los jego jest jak gdyby stworzony dla żądnej sensacji publiczności amerykańskiej, a przedsiębiorczy pan Cosick wykorzystuje to dzielnie w swej reklamie.

Patrol policyjny, który przechodził ulicą 15 we Filadelfii pewnej niedzielnej nocy schwytał Cosicka w chwili wymykania się z przymkniętej bramy banku państwowego. Przed rozbitą kasą banku znaleziono zabitego wartownika. Rzecz jasna, że podejrzenie o popełnienie tego włamania musiało paść na Cosicka, zwłaszcza że był on już niejednokrotnie karany za drobne kradzieże. Wprawdzie nie znaleziono przy Cosicku żadnej broni ani większej sumy pieniężnej, ale zachodziło przypuszczenie, że miał wspólnika. Cosick zapewniał o swej niewinności. Mówił, że tylko otwarte drzwi banku skusiły go do wejścia do środka. Gdy znalazł się przed otwartą kasą i ujrzał zabitego strażnika, uciekł zaraz ogarnięty przerażeniem, by wpaść akurat w ręce policji. Sąd nie dał wiary jego tłumaczeniu, a ponieważ publiczność domagała się ukarania mordercy, zasądzono Cosicka na podstawie poszlak i skazano na śmierć na krześle elektrycznym. W przeddzień swego stracenia zamówił sobie Cosick dużą porcję lodów. Duchowny, który go odwiedził w nocy zastał go wijącego się w bólach na tapczanie. Sprowadzony lekarz stwierdził ostre zapalenie ślepej kiszki przyspieszone prawdopodobnie przez spożycie nadmiernej ilości lodów. Wprawdzie miał być Cosick nazajutrz stracony, ale według regulaminu więziennego musiano go natychmiast operować. Tak więc znalazł się zamiast na krześle elektrycznym na stole operacyjnym miejskiego szpitala. Stracenie odłożono na kilka tygodni starając się go tymczasem wyleczyć. Teraz jednak los wmieszał się w tę sprawę. Pewnego dnia przyniesiono do szpitala kilku gangsterów rannych w walce z policją, a między nimi dobrze policji znanego bandytę George'a Loyle'a. Na łożu śmiertelnym przyznał się on do włamania do banku państwowego, do zabicia strażnika, podał nazwiska swych wspólników i zapewnił uroczyście, że nigdy nie widział na oczy człowieka imieniem Cosick. Zeznanie to oczyszczało zupełnie Cosicka, który był właśnie rekonwalescentem. Wypuszczono go zaraz na wolność i dano pewną kwotę jako odszkodowanie. Wrócony znów życiu mały przestępca był dość sprytny, by rozdmuchać swe przeżycie. Kupił on sobie na pamiątkę swej uczty skazańca małą lodziarnię i obecnie jest na drodze do zrobienia majątku.

GUZIKI Z ZEGARKÓW

W XVI i XVII w. panowała moda na zegarki. Każdy modny kawaler musiał mieć zegarek. Im oryginalniejszy zegarek lub ekscentryczniejszy sposób noszenia zegarka, tym większa chluba dla kawalera. Bywały zegarki małe i duże, noszono je w pierścieniach na palcach lub w kolczykach na uszach. Król francuski Karol X kazał sobie sporządzić frak, w którym zamiast guzików były miniaturowe zegarki.



PSIA WEŁNA

Ten oto pies, mieszkaniec północnych krajów, gdzie wespół z Samojedami stacza walki z surową przyrodą oddał sierść z swojego futra na sweter dla swojej pani, Holenderki. Przyznać trzeba, że ten wierny stróż służy swojej pani podwójnie i nie za darmo zjada swoją porcję kości.

WĄŻ W STAJNI

Pewien wieśniak portugalski nie mógł zrozumieć, dlaczego jego cielątko z dnia na dzień stawało się chudsze, choć krowa dawała pod dostatkiem mleka. Sądził już, że jest ono chore, gdy przypadek dał mu niezwykłe wyjaśnienie. Gdy raz wszedł do stajni, ku wielkiemu swemu zdumieniu zobaczył węża wiszącego u wymienia krowy, podczas gdy biedne cielę drżąc z trwogi stało w kącie. Dziwna rzecz, że krowa zachowywała się całkiem spokojnie w czasie dojenia jej przez węża. Wieśniak uzbroił się w potężny drąg i po zaciętej walce udało mu się zabić węża. Cielę mogło wreszcie u wymienia krowy zająć należne mu miejsce, do którego przystępu wzbraniał mu długi czas płaz łaknący mleka.

APTEKA AUTOMAT

Pewien holenderski aptekarz wpadł na pomysł stworzenia automatu z lekarstwami. Istnieją automaty z czekoladkami, papierosami, kanapkami, dlaczego by nie mogły lekarstwa wyskakiwać z automatu? Automat miał postać człowieka. Napisy na poszczególnych częściach ciała wskazywały jakie lekarstwa i na jakie choroby można było otrzymać. Obok napisu znajdował się otwór na wrzucenie monety. Ludzie cierpiący na brak czasu i na jakąś dolegliwość cielesną chętnie używali automatu przysparzając przez to dochodu pomysłowemu aptekarzowi.

NAJMNIEJSZA GAZETA

Obok amatorów rzeczy na miarę kolosa, są także miłośnicy okazów miniaturowych. Dla tych ostatnich wydawano w Meksyku tygodnik „Telegram". Tygodnik miał cztery strony objętości, podzielone na trzy łamy. Przynosił wiadomości najnowsze z całego świata. Gazeta miała dziesięć cm długości i osiem cm szerokości.

PIERWSZA ROZMOWA TELEFONICZNA

Pierwsza rozmowa telefoniczna na świecie odbyła się w roku 1861 między wynalazcą Filipem Reis, a jego przyjacielem w Friedrichsdorfie koło Hamburga. Wiekopomna rozmowa na upamiętnienie tego niezwykłego zdarzenia miała następujący przebieg: Reis: „Konie nie chcą jeść sałaty z ogórka". Przyjaciel: „Wiem o tym dobrze, stara małpo!"

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 353-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 220-61 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



MIĘDZY MALARZAMI

—Zaprzestań, do licha malować nagie kobiety, które nie dają i żadnego dochodu; a zacznij raczej malować pięciusetzłotówki!

— Hm. Chętnie przerzucę się na tę popłatną gałąź sztuki, jeśli wskażesz dzisiaj istotę, która mi pożyczy model!

Rys: Empp — Kraków

ZDROWA RADA

I tak się zdarza:
Do pewnego lekarza
przyszedł inny pan doktor: — "Cóż panu dolega?"
— „Mnie? Nic ani troszki!
Zato światu! Sam pan kolega
przyzna,
że szerzy się w nim zgnilizna.
Świństwo na świństwie! Panie chodzą bez pończoszki.
Nie mdleją choć im mężczyzna
widzi kolana!
Panny nie wierzą w bociana!
Chłopcy łykają ślinkę,
gdy ujrzą ładną dziewczynkę.
A już koroną sprośności
poezja, ciągle miłość, ciągle o miłości
jakby nie było innych, szczytniejszych tematów!
Ergo złączmy swe siły dla celu dobrego.
Pan ma głowę, ja mam głowę;
— Wymyślimy życie nowe,
ściśle bezpłciowe, na ratunek światu.
Cel wielki... Pańskiej rady trzeba mi, kolego,
Cóż mi kolega radzi?"
— „Co? Dom wariatów?!"

WYGODNY ZAWÓD

Kalendarz straszy już jesienią.
Rozkwitły astry już i dalie.
Po drzewach jabłka się rumienią,
jednak jesieni nie ma wcale.

Ciepełko ciepłe jak w Cieplicach,
chmurek na niebie, ani troszki...
panie wciąż chodzą po ulicach
w kusych sukienkach, bez pończoszki.

Jest ładnie. Głowę wznoszę przeto
i błogosławię dobrej doli,
że Pan Bóg stworzył mnie poetą,
nie fabrykantem parasoli.

Wujcio z Komina



...I stoi panu wyraźnie, że dosłuży się pan wysokiego stanowiska.
— To się zgadza — jestem dorożkarzem.

Rys: Czecha — Kraków

— Słyszałem, że pani wychodzi tego lata zamąż. Czy z miłości?

— Cooo! za kogo mnie pan ma? Czy to ja jestem jaka biedna sługa, żeby się ktoś ze mną potrzebował żenić z miłości?

*

Profesor: — Co to jest, że wy zawsze przekręcacie dziś, wczoraj, jutro . . . przecież to takie proste! Pamiętajcież sobie! Przedwczoraj było wczoraj wczoraj, a przedwczoraj dziś; wczoraj będzie przedwczoraj jutro, a dziś jest wczoraj; dziś będzie przedwczoraj pojutrze, a wczoraj jest jutro; jutro było pojutrze wczoraj, a jutro jest dziś; pojutrze zaś jutro będzie wczoraj, a pojutrze dziś. To przecież nie podobna się omylić!

KĄCIK SZACHOWY NR 22

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

OBRONA ŁOTEWSKA

(Ciąg dalszy).

Wariant I obrona C, kontynuowanie 1, subwariant c.

1. e2—e4 e7—e5	9. Gf1—d3 [4]) Hg6—g4! [5])
2. Sg1—f3 f7—f5	10. Hf3—e3+ Gf8—e7
3. Sf3×e5! Hd8—f6!	11. 0—0! [6]) Sg8—f6
4. d2—d4 d7—d6	12. d4—d5 Sc6—b4
5. Se5—c4 f5×e4	13. Wf1—f4 Hg4—d7
6. Sb1—c3 Hf6—g6	14. Sc4—b6 a7×b6
7. f2—f3! [1]) e4×f3 [2])	15. Wf4×b4 = analiza
8. Hd1×f3 Sb8—c6 [3])	DSchztg 1928.

[1]) Białe rozgrywają ze zdobycia piona e4, chcąc się szybko rozwinąć! Na 7. S—d5, polecone przez stare pismo francuskie nastąpiłoby H—f7!

[2]) 7 . . . S—f6 8. f×e4 S×e4 9. H—e2 G—f5 10. S—d2 S—c6 11. Sd×e4 S×d4 12. H—d3 itd. (Bilguer)..

7 . . . G—f5 8. S—e3 S—f6 9. S×f5 H×f5 10. H—e2 d5 11. f×e4 d×e4 i czarny pion stracony.

7 . . . G—f5 8. S—e3 e×f3 9. H×f3 G—c2 10. S×c2 H×c2 11. G—d3+ (Blümich, XV wyd. podr. Dufresne'a).

[3]) 8 . . . H×c2?? 9. G—d3+.

8 . . . S—f6 9. G—d3 H—g4 10. H—e3+ H—e6 (10 . . . G—e7 11. 0—0+) 11. 0—0 H×e3+ 12. G×e3 G—e7 13. Wa—e1 0—0 14. G—g5+ (Bilguer).

8 . . . S—f6 9. G—d3 H—f7? 10. 0—0 G—e7 11. G—g5 0—0 12. Wa—e1 S—c6 13. S—b5! G—d8 14. c3 G—e6 15. Sc×d6!+ (Vianna-Briquet, telef. zawody Rio de Janeiro-Sao Paolo 1924).

[4]) 9. G—e2? S×d4 10. H—e3+ S—e6 11. G—d2 S—f6 12. 0—0—0 G—e7 13. h3 0—0 14. G—d3 H—e8 15. g4 W—f7+ (p. koresp. Sztokholm-Ryga 1936).

[5]) 9 . . . H—e6+ 10. G—e3 S×d4 11. H—f4 S—c6 12. 0—0 S—f6 13. Wa—e1 G—e7 14. G—d4 H—g8 15. S×d6+ (Myers-Crowl, t. koresp. w Australii 1930).

9 . . . H—e6+ 10. G—e3 S×d4 11. H—f2 S—f6 12. 0—0 G—e7 13. h3 H—h5 14. H—g3 0—0 15. G—e2+ (L. Steiner-Dr. Tartakower, t. m. Berlin 1928).

[6]) 11. S—b5? H×g2 12. W—g1 H×h2 13. c3! K—d8 14. W×g7 h5! 15. H—f2 H×f2+ (Ilijn Genewski-Behting p. koresp. 1925).

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 10

A. W. Mongredien (Eclaireur du Soir 1924).
Czarne: Ke1, Ha7, Gb6, piony: a5, c7 (5).
Białe: Ka2, Hd3, Se4, piony: b5, c4, c6, d5, h2 (8).
3-chodówka 8+5 = 13.
Mat w 3 ruchach.

Rozwiązanie końcówki Nr 9 (Villenueve):

1. S—e7 K—c5 2. S—c8 W—h4 3. S—f4! W×f4 4. S—b6 W—f8 5. S—d7+ K—c6 6. S×f8 K×b7 7. K—b2 i białe wygrywają.

Partia Nr 31

Białe: Olivari — Czarne: N. N.

Partia włoska

1. e2—e4 e7—e5	11. Sb1—c3 [2]) Sd7×e5
2. Sg1—f3 Sb8—c6	12. Sf3×e5 Sc6×e5
3. Gf1—c4 Gf8—c5	13. Sc3—e4 Hd8—d4 [3])
4. 0—0 d7—d6	14. Gc4—d5 Se5—c6 [4])
5. c2—c3 Sg8—f6 [1])	15. Wf1—e1 Sc6—a5
6. d2—d4 e5×d4	16. Hb3—a3 Hd4×d5 [5])
7. c3×d4 Gc5—b6	17. Se4—f6+ g7×f6
8. e4—e5 d6×e5	18. Ha3×f8+ Kg8×f8
9. Hd1—b3 0—0	19. Gc1—h6+ Kf8—g8
10. d4×e5 Sf6—d7	20. We1—e8 mat.

UWAGI:

[1]) Lepszym i więcej stosowanym w tej pozycji jest 5 . . . G—g4.

[2]) To poświęcenie jest ryzykownym, choć daje białym tempo rozwojowe.

[3]) Ten ruch atakuje 2 figury odrazu. Okaże się, że poprawnym ruchem było 13 . . . S×c4 i czarne utrzymałyby się przy przewadze piona.

[4]) Broni czarne przed groźbą W—d1.

[5]) Na to czekały białe.

Partia Nr 32

Białe: C. A. S. Damont — Czarne: N. N.

t. Hastings 1931/2.

Obrona Caro-Kana.

1. e2—e4 c7—c6	5. e5—e6! f7×e6
2. d2—d4 Sg8—f6	6. Hd1—h5+ g7—g6
3. Gf1—d3 d7—d5	7. Hh5×g6+ h7×g6
4. e4—e5 Sf6—d7	8. Gd3×g6 mat.

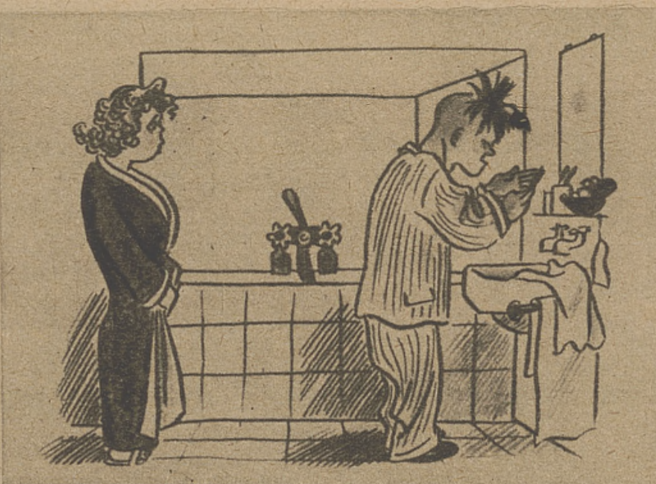
Partia Nr 33

Białe: R. C. Griffiths — Czarne: Rev. E. Griffiths

Gra 2 skoczków w obronie.

1. e2—e4 e7—e5	11. 0—0—0 Ke6—d7
2. Sg1—f3 Sb8—c6	12. d4×e5 Kd7—e8
3. Gf1—c4 Sg8—f6	13. Gg5×e7 Gf8×e7
4. Sf3—g5 d7—d5	14. Sc3×d5 c6×d5
5. e4×d5 Sf6×d5? [1])	15. Wd1×d5 Ge7—g5+
6. Sg5×f7 Ke8×f7	16. Kc1—b1 Ha5—b4
7. Hd1—f3+ Kf7—e6	17. Hf3—h5+ Ke8—f8
8. Sb1—c3 Sc6—e7	18. Wd5—d8+ i mat w nast. ruchu.
9. d2—d4 c7—c6	
10. Gc1—g5 Hd8—a5?	

[1]) Należało grać 5 . . . S—a5!



— Czemu mruczysz Władziu?
— A bo mojej brzytwie coś się stało i absolutnie nie chce golić.
— No, wiesz, to chyba nie możliwe, by twoja broda była twardsza od kartofli...

Das Illustrierte Blatt

Pani domu: — Wystawiłam ci dobre świadectwo, choć muszę przyznać, że w czasie twej służby nie zawsze byłam z ciebie zadowoloną.

Odchodząca służąca: — Ach, proszę łaskawej pani, ponieważ pani jest dla mnie taka uprzejma, więc chcąc się odwdzięczyć zwracam uwagę, że kluczyk od sieni nadaje się również do drzwi od spiżarni.

*

— Niech pan sobie wybije moją córkę z głowy — mówi ojciec do młodzieńca starającego się o rękę jego córki.

— Chętnie bym to zrobił — odpowiada młodzieniec — ale pańska córka nie dopuszcza do tego.

Matka: — Jakże ty mogłaś pozwolić się pocałować Zygmuntowi?

Córka: — A... bo proszę mamy... za ręce mnie trzymał, a kopnąć się go bałam, żeby nie zobaczył dziurawej pończochy!

*

Obrońca w zapale: — Panowie przysięgli raczą też pamiętać, że oskarżony jest ojcem dziesięciorga dzieci. Jeżeli już jedno dziecko ogarnia wstyd, że ojca zamkną, to cóż dopiero dziesięcioro!

*

Kasia: — Wiesz... to mi dziwne, żeś miał taki strach przy składaniu przysięgi wojskowej! Mnie przysięgałeś wierność tak swobodnie.

Antek: — No, tak . . . ale widzisz, tam trzeba dotrzymać.

WUJCIOWI Z KOMINA

Drogi Wuju! Kłaniaj się ode mnie kobiecie
co od dwudziestu czterech lat już chce Cię...
Dziwne arcy... bo wiadomość to dokładna,
że trzydziestu lat nie kończy pani żadna!
Czyżby sześć miała
gdy się w Tobie zakochała?
A zatem — nie ponosi winy,
nie wiedziała, co czyni...
Jeżli zaś miłuje Cię stare straszydło
nie dziwię się, że ci to zbrzydło!
Ja — owszem! — też cię czytam bardzo rada
(pardon, nie staram) — i dzięki ci składam
za uznanie dla mej w afektach wytrwałości.
Bóg zapłać... ale co dotyczy miłości
to się przyznam szczerze
że dawno już kocham tylko... na papierze.
Tyś już z niejednego pieca chleb zjadł
i wiesz: co innego życie — co innego poezja!
a i to musisz przyznać,
że papier teraz o wiele tańszy jak mężczyzna...
Mój Eros, Wujciu, poszedł na emeryturę,
bo w głowie myśli mam ponure:
że mężczyzna jest albo łotrem
albo głupcem. Pisząc o tem
czyż nie jestem świętej prawdy bliska?
Całuję cię ukradkiem. — K. Opalińska.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



— Jak sądzisz, czy można pani Misi powierzyć sekret?
— Nie, nie można, nie powiedziałaby go nikomu!

Rys. Zmudz.



On: — Już wieczór blisko, czas wracać do domu...

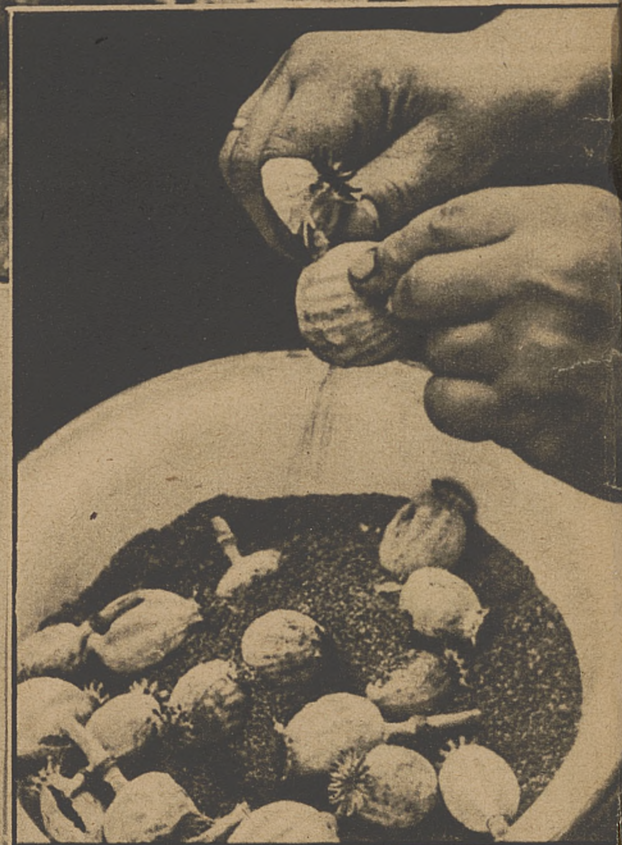
Rys. Kwiatek

MAKÓWKI

Zbiór główek maku odbywa się przy pomocy dużych nożyc, bowiem wysuszone łodygi są bardzo twarde.

Poniżej:
Najracjonalniejszy sposób wypróżniania makówek.





Pięknie jaskrawo-czerwone maki, które nasze panie tak lubią, nie są wcale „naszymi" kwiatami. Przyszły do nas z okolic wschodnich morza Śródziemnego i rozprzestrzeniły się po całej Europie i Azji. Służą nam nie tylko jako ozdoba, ale odgrywają wielką rolę w życiu gospodarczym. Biało-niebieskie ziarenka maku dostarczają doskonałej oliwy, której zastosowanie, zwłaszcza w czasie wojny, jest różnorodne. Sok maku wydobywany z łodyg i niedojrzałych główek maku, daje narkotyk zwany opium, który wprowadzony do Chin przez kupców angielskich czynił wielkie spustoszenia wśród ludności chińskiej. Rządy chińskie wydawały zakazy sprzedawania i używania opium, a obecnie i Japończycy na obszarach przez nich obsadzonych zabraniają handlu opium. Opium jest także lekarstwem. Pod postacią morfiny przynosi ludzkości wiele dobrodziejstw uśmierzając bóle. Piękny, czerwony kolor zachowały tylko polne maki, które nie mają zastosowania do wyrobu środków uśmierzających czy narkotyków; te dalej pozostaną tylko ozdobą pokojów panieńskich. Natomiast maki ogrodowe przez ustawiczne ulepszanie tracą i barwę i kształt pierwotny. Ich zadaniem jest dostarczać jak najwięcej pożytku ludzkości.

Fot. Eurofot 4
Matiola 1





Zebrane makówki wsypują zbieraczki do worka.

Na prawo:
Cała rodzina zebrała się na uroczysłość „wypróżniania".

Obok w kole:
Ta dziewczynka „wypróżnia" również, ale na swój sposób.